

Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT NR 2 (1738) 12-18 stycznia 2024



**Obrzydliwe
kaczątko
Kaczyńskiego
str. 4**



nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK



nie@redakcja.nie.com.pl

www.tygodniknie.pl

Tygodnik NIE

Tygodnik NIE

WOJNA DOMOWA

♦ Tematem tygodnia miał być budżet państwa, ale zostali nim Wąsik z Kamińskim. Co dość dobrze ilustruje specyfikę naszej odnowionej demokracji.

♦ W poniedziałek Sąd Rejonowy dla Warszawy-Śródmieścia postanowił, że z czwórki skazanych za nielegalne zmontowanie afery gruntowej w celu utopienia Leppera dwóch pójdzie siedzieć za rok, a dwóch – z marszu. Wszyscy czterej uważają, że w 2015 r. zostali ulaskawieni przez prezydenta – prezydent też tak uważa – ale Grzegorz P. i Krzysztof B. nie są do tej idei przywiązani na tyle, żeby iść za nią do pierdla, wobec czego poprosili o odroczenie. Mariusz Kamiński i Maciej Wąsik byli ponad to. W dobrym samopoczuciu utwierdzał ich prezydencki minister Marcin Mastalerek, który ogłosił, że prezydent osobiście zaprosił skazańców na wręczenie umów o pracę ich byłym podwładnym Pobożemu i Żarynowi.

♦ W miniony wtorek przed południem po Mariusza Kamińskiego podjechała limuzyna z kancelarii prezydenta – z jakiegoś powodu sam nie prowadzi – i powiozła go do pałacu. Wąsik dotarł na własną rękę. Kiedy byli w drodze, policja usiłowała zgnać ich z domów, gdzie ich nie było. Funkcjonariusze obstawili wobec tego Pałac Prezydencki i rozpoczęło się polowanie na czatach. Kolo godz. 15.00 bohaterowie dnia pojawili się na dziedzińcu, gdzie poinformowali wycekujących na mrozie dziennikarzy, że będą w pałacu, „aż zło przegra”, choć pojutrze chcieliby pójść na demonstrację poparcia dla samych siebie.

♦ Niestety, nie dotrzykali słowa w żadnej z tych spraw, albowiem pod wieczór, kiedy prezydent udał się do Belwederu okazywać wsparcie innym działaczom prześladowanej opozycji – a konkretnie Światłanie Cichanouskiej – policja podstępnie wykradła mu obu bohaterów. Podobno prezydent, kiedy się o tym dowiedział, chciał rzucić się na odsiecz, ale pod bramą Belwederu akurat zepsuł się autobus MZA i zablokował wyjazd kolumny. „Był to absolutny przypadek, ja dementuję wszelkie sugestie, że to było jakkolwiek sterowane i zaplanowane, jest to całkowita nieprawda” – zapewnia rzeczniczka ratusza Monika Beuth-Lutyk, choć jej szef nieco podważa jej dementi na platformie X. „Komunikacja miejska w Warszawie. Zawsze do usług” – napisał zawiadiacko Rafał Trzaskowski.

♦ Podczas gdy posłowie, którzy już nie są posłami, „przebywali” w Pałacu Prezydenckim, premier Tusk odczytał głowie państwa par. 1 art. 239 kodeksu karnego: „kto utrudnia lub udaremnia postępowanie karne, pomagając sprawcy przestępstwa uniknąć odpowiedzialności karnej, w szczególności kto sprawcę ukrywa”... Premier zapomniał dodać, że paragraf 2 stanowi, iż „nie podlega karze sprawca, który ukrywa osobę najbliższą”. Miłość, z jaką prezydent Duda mówi o Mariuszu Kamińskim, powinna – naszym zdaniem – uwolnić go od wszelkiej odpowiedzialności: „Jestem wstrząśnięty, że zamknięto do więzienia ludzi, którzy są krystalicznie uczciwi, którzy, jak powszechnie znany pan minister Kamiński, zawsze walczyli o wolną Polskę”.

♦ Marszałek Hołownia, który tydzień rozpoczął od konsultacji z prawnikami – wszyscy powiedzieli mu to, co sam wiedział, czyli że mandaty Kamińskiego i Wąsika wygasły wraz z prawomocnym skazaniem – następną decyzję podjął już sam i przeniósł sejm na przyszły tydzień, żeby wyznawcy, których Kaczyński zaprosił na Protest Wolnych Polaków, demonstrowali pod pustym budynkiem. Przyjaciele Hołowni mówią, że to przejaw rozsądku, a wrogowie – że tchórzostwa. Polakom rzadko przychodzi do głowy, że to często jedno i to samo.

♦ Niezależnie od rozsądnego tchórzliwego uniku Hołowni, atmosfera w kraju zdaje się dość daleko od obiecywanego przez obecną władzę „pojednania”. Prezydent nie ulaskawił, bo już ulaskawił i starczy, premier straszy prezydenta kodeksem karnym, jedna izba Sądu Najwyższego uznaje, że mandaty nie wygasły, druga wręcz przeciwnie, a prezesi SN wzajemnie wyrrywają sobie piśma procesowe. Tak właśnie „powraca do wyzwolonej stolicy prawo, porządek i praca”, żeby zacytować wieszczą rewolucji.

♦ Przed komisją śledczą ds. wyborów kopertowych zeznał Jarosław Gowin. Był jak zwykle pełen godności i poczucia gravitasu i wszystko robił z lojalności do Polski. Prawie nas przekonał, aż do momentu, kiedy pytany przez Waldemara Budę z PiS o to, czy Sikorski proponował mu stanowisko premiera, odrzekł, że nie pamięta. Serio?

♦ Garść cytatów godnych odnotowania. Przemysław Czarnek w TV Republika: „Wydaje nam się, że jeden z naszych posłów, bezprawnie uwięzionych, uprowadzony przez bandytów z Kancelarii Prezydenta RP został przewieziony już na Białolekę”. Ależ skąd, bandyci z Kancelarii Prezydenta RP nie mieli z tym uprowadzeniem nic wspólnego. Włodzimierz Czarzasty w TVN24: „Ja już bym chciał, żeby prawnicy dawali jednoznaczny opinię na temat tego, co jest prawem, co nie, i jak je stosować, a nie wygłaszali swoje opinie, bo jeden prawnik ma takie zdanie, drugi drugie”. Miałaby być demokracja, a teraz, kurwa, każdy głosuje, jak chce – żeby zacytować legendaria bon mota Lecha Wałęsy.

♦ Uradował nas też wiceszef MSWiA Wiesław Szczepański: „Nie porównywałbym pana Kamińskiego czy Wąsika do więźniów politycznych. Więźniowie polityczni są skazani, powiedzmy, za swoje przekonania polityczne, natomiast tutaj mamy sytuację taką, że panowie są skazani kodeksem karnym”. Skazania przeważnie są z kodeksu karnego, panie ministrze. A tak na marginesie: opowieści o tym, że Wąsik z Kamińskim są „pierwszymi więźniami politycznymi po 1989 roku” nie są prawdziwe także dlatego, że w 2013 r. w tym samym pierdłu na Olszynie Grochowskiej siedział Ikonowicz w związku z obstukaniem kamienicznika podczas blokady eksmisji. I też głodował, całkiem jak Kamiński, ale potem mu się znudziło, zapłacił grzywnę i wyszedł. Wąsik z Kamińskim też mogą wyjść, jak im się znudzi. Wystarczy, że poproszą Andrzeja Dudę o to, żeby ich ulaskawił, tym razem legalnie. „Nie spocznę, dopóki pan minister Mariusz Kamiński i jego współpracownicy nie będą na powrót wolnymi ludźmi” – obiecał wszak prezydent w śródownym oświadczeniu. Weźcie już skończcie, bo wstyd.

AWŁ

Z URNY URBANA

Pod koniec ubiegłego roku sejm przyjął nowelizację ustawy o in vitro. Jak pamiętamy, walka o dopuszczalność i publiczne finansowanie zapłodnienia pozaustrojowego ma w Polsce bogatą historię. Problem powracał co jakiś czas i zawsze wzbudzał olbrzymie emocje społeczne i polityczne. Przypominamy, co w związku z tematem napisał Urban w felietonie ze stycznia 2012 r.

Krupierzy ze świętej szulerni

Nie po to Bóg dał człowiekowi dwie nogi, żeby potem chirurg jedną odcinał. Wszchemogący po to stworzył dziury w zębach, żeby bolały, bo jakaż jest ich inna celowość? A jednak Kościół w dobrośliwości swej zezwala nawet na przeszczep serca – choć ta pompa jest wzniosła, bo bywa plastycznym symbolem miłości odczuwanej przez figury sakralne do ludu. Na przykład w wytwórni Matek Bosek koło Gorzowa jedna Madonna gestem ekshibicjonistki pokazująca serce równa się ceną jednemu i pół dużego krasnala z grzybem.

Kościół przyzwala nawet na poprawienie wyglądu boskiego dzieła, jakim jest człowiek lub sporządzona z niego kobieta. Bezgrzesznie wolno cycki napychać silikonem, policzki botoksem i wyolbrzymiać wargi mordowe i sromowe, czyli naruszać prawa autorskie Boga nawet w intencjach frywolnych. Dlaczego więc nagle Kościół robi gwałt o wszczepianie kobiecie zarodka wyhodowanego poza jej organizmem, czyli in vitro? Przecież każdy człowiek jako zamyśl rodzi się ze szkła wypełnionego wódką, chyba że jest małym Kulczykiem, których ród z szampaństwa.

Proces powstawania człowieka jest długi. Nie wiadomo, gdzie się zaczyna. Istota człowieczeństwa tkwi w genach, ich zespolałach i umiejętnościach. Kościół wybrał sobie jedną fazę i jedną technikę rozrodu i zawołał: a na to nie pozwalam! Taki sam jest Bóg Zydów, który swoim ludziom zezwala jeść tylko te ryby, które mają łuski. Co mu za różnica?

Podobnym kościelnym kaprysem jest in vitro, konkretnie stosunek kleru do głosowania w sejmie tej sprawy. Kościół upiera się przy zakazie w celach prestiżowych. Żeby pokazać, kto rządzi. Jeżeli zaś przegra głosowanie, też coś zyska. Krzyknie, że jest prześladowany.

Jego zdaniem z niepokalanego poczęcia w próbówce rodzą się Nergale, Palikoty i inne Senyszyny.

Moralność kościelna ma za kryterium dobra i zła swój własny prestiż i władzę. Nie wprowadza nakazów i zakazów w oparciu o motywy racjonalne. Zakazuje czegoś po to, żeby się wyodrębnić, aby czymś naznaczać posłuszne sobie owce. Zakazami i nakazami kler kolczykuje swą trzodę. Pac – padło u katolików na szwininę w Wielki Piątek. Równie dobry byłby zakaz gryzienia jabłek w każdy poniedziałek z parzystą datą. Nóż się jednak otwiera (większy niż do obierania jabłek), kiedy kłechy naciskają na parlament, żeby państwo karało za jabłka grzywną, a Kościół dorzuci do niej osadzanie w piekle. Na tym polega nacisk abepe Hosera na posłów w sprawie in vitro.

Normy katolickiej moralności powstają w następujący sposób. Papież ponumerował ludzkie czyny, a liczby naniósł na segmenty ruletki. Kręci nią i ruca kulkę. Gdzie padnie, tam grzech. Papież to bowiem arcykrupier boskiego kasyna. Moralność katolicka jest więc grą w ruletkę, ale tak skonstruowaną, żeby zawsze wygrywał ten, kto nią kręci.

Metropolita warszawski abepe Kazimierz Nycz w noworocznym wywiadzie dla PAP powiedział, że Komisja Majątkowa oddała Kościołowi tylko część nieruchomości zabranych przez komunistów. Jeżeli więc dyskutować likwidację Funduszu Kościelnego, który stanowił za nie odszkodowanie (notabene płacone już przez 60 lat), to w zamian za pieniądze z innego źródła.

Jak wiadomo, episkopat żąda kilka razy więcej, niż dostaje z funduszu w formie odpisu od podatków państwowych na swoją rzecz.

Publiczne kłamstwo hierarchy w interesie własnej firmy nie kłóci się z moralnością ka-

tolicką. Miłujący i głoszący prawdę duchowni pod względem etycznym są bolszewikami antybolszewizmu.

Biskupi ostentacyjnie szachrują w rachunkach. Liczą wartość ziemi oddanej im przez państwo, ale po cenach drastycznie zaniżonych. Nie liczą tego, co otrzymali od gmin. Nie wliczają wartości budynków. Pomijają poprotestanckie dobra kościelne oddane im na ziemiach zachodnich. Kwestionują też prawomocność reformy rolnej, ale wyłącznie wobec obszarników w sutannach. Mało więc, że kler kłamie, a swój stan posiadania tai, to chcąc więcej, rad by Polskę cofać do feudalizmu.

Ks. Robert Skrzypczak, ktokolwiek to jest, ostatnio w „Gazecie Polskiej”, organie PiS, wyraził katolickie ideały. Cytuje: „Idealnie byłoby, gdyby każdy polityk miał swojego kierownika duchowego, grono ekspertów teologów, regularnie się spowiadał”. Pewien krok praktyczny w kierunku takiej teokracji państwo poczyniło w minionym roku. Ku zachwytowi mediów na szosach pojawiły się wspólne patrole księży i policjantów, żeby karać i napominać kierowców za nieprawidłową jazdę. Gdyby w dzisiejszej Polsce nie zdarzył się sukces Palikota i przegrana PiS, gdyby więc Kościół miał lepszą pogodę, to widać, że zmierzałby do państwa kościelnego z katolickim szariatem. I wzorowanej na Iranie policji wyznaniowej batożącej za minispółniczeki.

Lepiej przejechać patrolującego szosę kłech niż zwolnić i słuchać jego nauk. Pędzący kierowca, niechby i pijany, i tak wyjdzie na swoje. Agnostycy, ateści i katolicy religijnie obojętni żyją bowiem dłużej niż pobożni, ponieważ donikąd im się nie spieszy.

URBAN

PRASA ŚNIADANIOWA

• „Gazeta Wyborcza” przeprosiła za publikację tekstu Marcina Kąckiego. Gazeta w trakcie publikacji była pijana i w żalobie.

• W Tarnobrzegu jedna z parafii zorganizowała losowanie żywych królików. Miło, że ruszyła kolejna edycja Szlachetnej Paczki.

• Tygodnik „Niedziela” przypomina, że sakramentu chrztu nie wymazuje akt apostazji. Pytanie do redakcji: czy udział w orgii podczas czarnej mszy coś pomoże?

• 11 stycznia pod sejmem odbył się Protest Wolnych Polaków. Kamiński i Wąsik nie zostali zaproszeni.

• Tygodnik „Sieci” nagrodę Człowieka Wolności przyznał Adamowi Głapińskiemu. Nagroda idealnie będzie się prezentować na półce obok Dzbana Roku.

• Bloki reklamowe w TV Republika to już prawie wyłącznie reklamy środków medycznych. Akurat grupa docelowa idealna do leczenia zespołu niespokojnych nóg.

MARTA M.

Jakieś rady na przetrwanie w pierdłu dla Wąsika i Kamińskiego?

Facebook

Alek Zakrzewski: Mówić, że jest się z opozycji i walczyć się z bezprawiem jako zwykli obywatele.

Ireneusz Franek Sowa: Rozmowy z Andrzejem Bobolą.

Krystian Swieczka: Cieszyć się towarzystwem!

Tomasz Cybulski: Najgorsze pierwsze dwa lata, potem idzie przywyknąć...

Marcin Matysz: Dwie najważniejsze kwestie – dobry skład na celi i dobry wychowawca.

Adam Trurl: Metoda na Morawieckiego – wmawianie sobie i innym,

że wcale nie siedzą w pierdłu, a nawet są na wolności bardziej niż kiedykolwiek.

Dzwonnik Zdzisław: Ugruntować tam sobie pozycję.

Mariusz Górski: Mydła w płynie nie da się upuścić.

Michał Walek: Nie drynić przy otwartym.

Maciek Świć: Zjeść makowca z naczelnikiem.

Andrzej Kowalczyk: Pierwszy tydzień chodzić na wszystkie spacery.



Dariusz Jesienny: Karton podręczników i lektur dowieziony przez Przemka Czarnką.

Daniel Cichorczyk: Niech powiedzą służbie więziennej, że chcą do grypsujących.

Krzysztof Kawecki: Rok nie wyrok, dwa lata jak za brata.

Marek ZorJan Gnybek: Pierwszy raz jest najtrudniejszy, ale cierpliwości – to dopiero pierwszy wyrok.

Forum

Tsg: Apap na dzień i apap na noc. I nie schylać się po mydło pod prysznicem.



Czy wyrzucanie z pracy za to, że się zmajstrowało dziecko, jest zgodne z prawem? Oczywiście!

Ojciec w dwójnasób

Stereotyp głosi, że wszyscy księża to pedofile i homoseksualiści. Stereotyp kłamie – część katolickich duchownych wciąż jest łasa na wdzięki kobiet.

Pani Monika i jej mąż Roman zarzucili proboszczowi z Lubomierza uprawianie przezeń seksu z panią Moniką oraz innymi parafiankami. Sprawa toczy się w sądzie biskupim. I wcale nie chodzi o to, że ks. Andrzej grasował seksualnie, rozbijając uświęcone przez Kościół małżeństwa, bo to jeszcze kuria by przełknęła. Najpoważniejszy zarzut dotyczy bowiem tego, że swoje partnerki seksualne rozgrzeszał z cudzołóstwa, czym przekraczał swoje kompetencje.

Co Bóg złaczył...

Proboszcz wystarał się o papiery wskazujące, że wskutek oskarżeń zapadł na depresję lękową i inne schorzenia. Jest więc pewny tego, że roboty nie straci, i idzie w zaparte, nie przyznając się do niczego. Kuria wyciszyła sprawę zawieszeniem duchownego. Jedynie pan Roman nie wychodzi z domu, bo nawet gdyby wydał oświadczenie, że jego małżeństwo było związkiem otwartym na innych, to nikt w Lubomierzu by mu nie uwierzył. Co gorsza, pan Roman boi się, że poza wieńcem poroża może popłynąć na niewierności żony finansowo. Nie bez kozery proboszcz oficjalnie oświadczył, że „przeciwko Państwu R. skierował sprawę do sądu cywilnego i będzie domagał się wysokiego zadośćuczynienia za wyrządzone krzywdy”.

Kilka lat wcześniej skrzywdzony poczuł się 38-letni pan Zygmunt spod Szczecina. Krzywdę wyrządził mu, romansując z jego 37-letnią żoną Barbarą, młodszy od niej o dwa lata ksiądz Stefan. Kobieta przyznała się mężowi do zdrady, ale nie ujawniła, kim był kochanek. Pan Zygmunt zaś dobrze wiedział. Miał wszak dowody na to, że ślubna nocowała u księdza na plebanii i że razem wyjeżdżali na ferie, weekendy i urlopy. Co prawda w procesie rozwodowym pani Barbara mówiła, że to wszystko przez męża, który źle ją traktował i nadużywał alkoholu, ale sąd jej nie uwierzył i obciążył kobietę winą za rozpład stada. Co zaś do księdza Stefana, to kuria zmieniła mu przedział służbowy, z czego nawet się ucieszył, bo panią Barbarę miał z głowy.

Ksiądz proboszcz z diecezji kaliskiej molestował zamężną kobietę – tak ujął to sąd, przed który trafiła sprawa relacji seksualnej parafianki z księdzem. „Ksiądz buntował ją przeciwko mężowi, osaczał, uzależniał od siebie. Wpychał język do ust, łapał za piersi, kładł jej rękę na swoim kroczu. Kazał też kłaść się na wersalce i doprowadzać do orgazmu. Musiała to robić na jego zawołanie” – opisywały media, zapominając o tym, że spotkanie się z proboszczem nie jest jeszcze w Polsce dla nikogo obowiązkowe. Kobieta była na tyle wiarygodna w opisywaniu nachalności katabasy, że został on skazany na osiem miesięcy więzienia w dwuletnich zawiasach. Sąd zabronił mu również jakichkolwiek kontaktów z pokrzywdzoną kobietą.

I w tej sprawie pojawia się mąż. Pani była bowiem mężatką. Kiedy ksiądz i mąż byli jeszcze przesłuchiwanymi w prokuraturze, małżonek, zobaczwszy proboszczą na parkingu, doskoczył do niego. Po czym został przez klechę oskarżony o pobicie i kierowanie gróźb karalnych pod jego adresem. Katabas śmignął bowiem na obdukcję i zrobił fotkę krwiaka na nodze, który miał powstać po uderzeniu przez męża kobiety. Według biegłej krwiak powstał wcześniej, choć nie wykluczyła, że mogło dojść do celowego samouszkodzenia. Sąd uwierzył księdzu. Mąż kobiety naruszył nietykalność osobistą duchownego i usłyszał, że ma zapłacić 500 zł nawiazki, pokryć opłaty sądowe i koszty adwokata księdza. Skazany za molestowanie parafianki ksiądz oczywiście wciąż jest księdzem.

Andrzej był organistą, a jego żona Anita pomagała przy kościele. Przyjaźnili się więc z księdzem. Gdy między małżonkami było gorzej, Anita – jak twierdzi – odnajdywała się w ramionach duchownego. Kiedy jednak między mężem i żoną zaczęło być dobrze, katabas przestał być jej potrzebny.

I się wściekł, czego dowodem były słane przez niego do Anity SMS-y oraz to, że pojawiał się



Pociąg do wiary

Dla wielu biskupów seks księdza z mężczyzną to słabość, a z kobietą to grzech. Słabość jest złej niż grzech – nie będzie z tego dzieci, więc odpadają alimenty. Jeśli jednak ksiądz uprawia seks z kobietą i nie ma z nią dzieci, to grzeszy w dwójnaso, bo musi stosować środki antykoncepcyjne. Seks z mężczyzną ich nie wymaga. Skale homoseksualizmu wśród księży badali Amerykanie. W 2000 r. ksiądz prof. Donald Cozens podał, że od 30 do 58 proc. amerykańskich duchownych to osoby o orientacji homoseksualnej. Według byłego benedyktyna Richarda Sipe'a 30–50 proc. amerykańskich duchownych to osoby o orientacji homoseksualnej. Co ciekawe, w przypadku biskupów to nawet 70 proc. W 1996 r. „Irish Times” napisał, że 98 proc. irlandzkich księży nie zachowuje abstynencji seksualnej. W Polsce, według badań prof. Józefa Baniaka sprzed ćwierć wieku, 60 proc. ma partnerki, 15 proc. ma dzieci, zaś gejami jest 20 proc. księży.

T.J.

w okolicach jej domu. Anita nie wyrobiła i sprawa wylądowała w Sądzie Rejonowym w Wałbrzychu. Klecha wyjaśnił, że jego zachowanie było spowodowane chorobą alkoholową i traumą po śmierci matki. Przyznał się tylko do nekkania i wyraził skruchę. Sąd warunkowo umorzył postępowanie, każąc księdzu zapłacić tylko tysiąc złotych nawiazki na rzecz pani Anity. Te tysiąc złotych to znacznie mniej, niż stracił wraz z pracą organisty Andrzej. Mąż, którego żona nie chciała księdza. Księdza, któremu po tej aferze zawodowo włos z głowy nie spadł.

Pierwsi rzuca kamieniem

Ksiądz Krzysztof z Piekara Śląskich na dwa lata wszedł w seksualną relację z kobietą. Tak przynajmniej opisała to w internecie, kiedy księżu postanowił zakończyć romans, bo „nie chciała ukrywać swojej miłości”. Choć może nie do końca. Mediom opowiadała wszak: „Ksiądz zostawił mnie i moje dzieci. Po dwóch latach związku pożegnał się z nami słowami: »to, co było w Vegas, zostaje w Vegas« – i z dnia na dzień urwał kontakt. Został mi w najgorszym momencie mojego życia”.

Dla Kościoła taka afeta to nie afeta. Kuria nie pogroziła księdzu nawet palcem. Co z kolei wniewiło inne księże kochanki, które jęły się zliczać w sieci, opisując swoje erotyczne przygody z klechą. Jedna z nich poszła na całość. Zakapowała

sterskich i noszenia stroju duchownego. Nakazał też podjęcie terapii i pokuty w miejscu wskazanym przez metropolitę. Ksiądz celebryta się pokajał i powiedział mediom: „Nie wiem, nie mam pojęcia, co się ze mną stało, jak się to wydarzyło”.

Biskup i koledzy księdza wiedzieli, bo o podobnych klechach w tym światku było głośno. Ci, którzy wiedzą, co to podryw, wiedzą też, że skoro ksiądz jechał tego typu tekstami, to znaczy, że musiał wiedzieć, że działają. Widać stosował je wcześniej z przyjemnym dla siebie skutkiem. Zgubiła go zatem rutyna.

Od zawieszenia upłynęło już nieco wody. Ksiądz celebryta uznał, że winę odpokutował i jest gotów wracać do wyteżonej pracy. Kuria się nieco waha, ale przez te wszystkie miesiące zapewnia wikt, opierunek i parę groszy – by pokuta nie była torturą – skompromitowanemu chwilowo księdzu.

Apaga satanas

Studiując w Olsztynie, Agnieszka zarabiała jako kelnerka. Tam utwoił ją miły gość przedstawiający się jako jeżdżący po świecie pracownik naukowy. Pospotykali się nieco seksualnie. Po czym letni romans zdechł. Po jakimś czasie ożył. Para przez kilka miesięcy spotykała się w okolicznych motelach. On wysyłał jej romantyczne wiadomości oraz odręcznie napisane wiersze.

Pech chciał, że kiedyś natknęła się na miłość swego życia w urzędzie. Miłość pod szyją miała koloratkę. Serce nie służy, więc od teraz spotykali się na plebanii, a nawet Agnieszka tam nocowała. Aż zaciężyla. Ksiądz wysłał jej dwa przelew, a potem zapadł się pod ziemię. Nie ze wstydu bynajmniej, a na rozkaz kurii, do której wierni zdążyli już zaraportować, że ich biedny ksiądz padł ofiarą bezbożnej ladacznicy, co to go omamiła. Kuria kazała się księdzu odmamić, a żeby mu to ułatwić, przeniosła go najdalej jak mogła. Agnieszka nie wie, gdzie jest, a w wychowywaniu księgiego dziecka partycypują finansowo jej rodzice.

Proboszcz podjarościńskiej parafii miał sądowo potwierdzone ojcostwo, ale przestał płacić alimenty. Dziwnie zbiegło się to w czasie z postępowaniem kanonicznym, w ramach którego uznano proboszczą za winnego i ukarano nakazem pokuty. Czego dotyczyło, wiedzą tylko zainteresowani.

Po wypłynięciu sprawy alimentów ks. Janusz opowiadał mediom: „Mam spokojne sumienie. Nie wiem, dlaczego ta kobieta tak się mści za coś, czego nigdy nie zrobiłem”. Na te słowa w internecie pojawił się skan wyroku, w którym wydział rodzinny i nieletnich sądu uznał Janusza B. za ojca małoletniej.

Księdzu rura nie miękła. Na prowadzonej przez siebie mszy ubolewał: „W jednej chwili można zniszczyć człowieka. Sprawę skierowałem do prokuratury. Jak mnie nie będziecie chcieli, to odejdę...”. I po tym zapłakał. I to nie nad niedolą dziewczynki, której tatuś nie chciał znać.

Ksiądz z Łowicza trafił do Łęczycy, bo ścigała go kobieta i kuria chciała zrobić mu dobrze. Babka nie odpuściła, znalazła go i poszła do mediów. O co poszło? O to, że księżu nie chciał płacić na ośmioletnią córkę więcej, bo uważa, że płaci tyle, ile powinien. Dla mediów ksiądz miał spicz, że nigdy nie unikał konsekwencji ani finansowych, ani tych związanych ze swoją służbą. Ksiądz uważa, że już odpokutował za grzechy z przeszłości, a teraz poświęca się tylko pracy duszpasterskiej. Ku chwale przełożonych zapewne.

Tych samych przełożonych, którzy z Watykanu mają jasne wytyczne mówiące, że jeśli ksiądz oficjalnie przyznaje się do dzieci i chciałby je wychowywać, to ma przestać być księdzem. Jeśli zaś duchowny ojcostwo ma gdzieś – niczym żyjący w dzikim świecie św. Augustyn – to nic nie stoi na przeszkodzie, by z dumą niósł wiarę, nadzieję i miłość.

TADEUSZ JASIŃSKI

MÓZDZEK TYGODNIA

Uważająca się za pierwszą prezes Sądu Najwyższego doktor habilitowana Małgorzata Manowska miała szansę milczeć w sprawie Kamińskiego z Wąsikiem. W zaciszu gabinetu mogła cieszyć się neopowabem, neogracją i neourokiem osobistym, mogła nawet napisać wiersz albo zaśpiewać arie „O Patria mia” z „Aidy”. Ale nie! Postanowiła sięgnąć do zasobów neointeligencji i wydać oświadczenie, wygłoszone potem w mediach przez neosędziego z Ordo Iuris Aleksandra Stępkowskiego.

Oświadczenie charakteryzuje się typowo pisowską neologiką, zawiera typowo pisowskie łgarstwa i przemilczenia, jest napisane typowo pisowskim neoprawniczym wolapikiem. Jak wszystkie pisowskie dokumenty, przejdzie do historii polskiego bezprawia, a razem z oświadczeniem ugrzęźnie tam neosędzia Manowska oraz jej neopowab, neogracja i neourok osobisty.



ILUST. KRZYSZTOF OLEJNIK



Od 21 grudnia ubiegłego roku na antenie telewizyjnej Jedynki serwis „Wiadomości” zastąpił program „19.30”. W wydaniu nowej audycji z 3 stycznia pojawił się materiał redaktora Macieja Gąsiorowskiego o osobach cierpiących na chorobę Alzheimera. Jednym z bohaterów reportażu był pan Ryszard, senior, dla którego czas zatrzymał się ćwierć wieku temu. Schudnięty 82-latek głowił się nad pytaniem, który mamy rok, po czym dziennikarz dopowiedział, że mężczyzna, który okazał się jego ojcem, wciąż myśli, że jest młody i aktywny zawodowo. Od 1,5 roku pensjonariusz domu opieki. „Kiedyś kłóciliśmy się o politykę, pieniądze czy moje długie włosy, ale alzheimer wymazał wszystkie spory. Została miłość, i to chyba miłość jest najlepszym lekiem na tę chorobę” – dodał Gąsiorowski, czemu przytaknął pan Ryszard. I nagle wszyscy jak na komendę się zeszali. Bo to, co przeczytałam i obejrzałam w ciągu kilku następnych dni, ciężko nazwać oburzeniem.

Jak na ironię, Maciej Świrski, szef Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, od ośmiu lat głuchy i ślepy na szlam płynący z państwowej telewizji, odzyskał zmysły i dzierząc pałę pierwszeństwa, polecił natych-

Ktokolwiek powiedział, że człowiek, łącząc własne cierpienia z cierpieniem Jezusa, współuczestniczy w zbawczej miłości Boga do ludzi, musiał się pozamieniać z fiutem na lby. Niemniej cała rzesza wyznawców takiego przekonania dała upust w social mediach swoim chrześcijańskim poglądom wobec Macieja Gąsiorowskiego, najbardziej za umieszczenie schorowanego ojca w „przytułku”. Co w sumie było paradne, bo może i ojciec dziennikarza razem ze swoją chorobą Alzheimera żyją w 1997 r., ale to wciąż bardziej współczesne czasy niż te, z których pochodzi to określenie. W końcu hasło „dom opieki” kojarzy się jednak z jakimś łóżkiem, kibelem czy nawet kapturami. „Przytułek” ma moc rażenia: betonowa podłoga, obszczone spodnie i walka o okruch ze szczurem. Gra w skojarzenia zadziałała, Gąsiorowskiego juniora przeorano przez wszystkie odmiany bydlęta po różne stopnie zaawansowania ubrudzenia prącia.

Z danych Narodowego Funduszu Zdrowia wynika, że w samym tylko 2022 r. w Polsce zarejestrowano 375 tys. cierpiących na chorobę Alzheimera i choroby pokrewne (inne zaburzenia i dolegliwości otępienne). W sumie choruje ponad 600 tys. osób. W opublikowanym przez NFZ raporcie można znaleźć ciekawe dane: najczęściej chorych jest w wieku powyżej 85 lat (prawie 142 tys.); niewiele mniej, bo 132 tys. chorych,

lonych z powodu choroby Alzheimera i pokrewnych. Krótko mówiąc,

każdy, kto ma w rodzinie chorego na alzheimera i umie liczyć, wie, że z problemem zostanie jak stara kurtyzana w deszczu: sam i na pastwę losu.

Państwo również w tym szczególnie wrażliwym sektorze jest kompletnie niewydolne.

Jak zauważył w swoich social mediach Jakub Kosikowski, lekarz onkolog, rzecznik Naczelnej Izby Lekarskiej, „większość rodzin w Polsce przy bardzo słabej opiece państwa w opiece domowej nie jest w stanie zapewnić choremu opieki”. I nie mówimy tu tylko o chorobie Alzheimera. To nie zarzut, a stwierdzenie faktu. Opieka nad ciężko chorym członkiem rodziny wypala psychicznie i fizycznie, w wielu przypadkach wymusza rezygnację z pracy zawodowej, pogarszając sytuację ekonomiczną rodziny, co oznacza brak pieniędzy na niezbędne potrzeby chorego i opiekunów. Nie wspominając, że czasy rodzin wielopokoleniowych, w których zawsze znalazł się ktoś nieaktywny zawodowo, chętny do pomocy, już dawno minęły.

Dr hab. Katarzyna Roszewska, współtwórczyni Centrum Badań Nad Niepełnosprawnością, rzuciła na platformie X wyzwanie dziennikarzom, żeby zbadać temat rozszerzonych samobójstw opiekunów osób z niepełnosprawnością. W Polsce trudno szukać takich danych. Według policyjnych statystyk w 2022 r. w kraju samobójstwo popełniło 5018 osób. W 3 tys. przypadków nie udało się ustalić przyczyny. Heroizm w Polsce nazbyt podziwiany jest upodleniem, by dało się żyć.

Polityka senioralna państwa istnieje tylko na papierze, a i tu wypada błado. Z uwagi na potężną dziurę demograficzną wszyscy prędzej czy później liną temat opieki nad zniechęconym członkiem rodziny lub sami będą jej potrzebowali. I tych, których stać na opłacenie fachowej opieki, nie należy stygmatyzować, a objętych tą formą pomocy – współczuć. Co najwyżej można spoglądać w ich stronę z zazdrością.

IDALIA DUBICKA

Druga młodość tatusia

Świrski odzyskał zmysły.

Wyrosła w III RP obsesja Wojtyły dotycząca cielesności, zobrazowana medialnym rytuałem samobiczowania, obrodziła – taka nasza mnie myśl po festiwalu równie medialnego linczu nad dziennikarzem odpartyjonej TVP Maciejem Gąsiorowskim, który ośmielił się zrobić materiał o swoim chorującym na chorobę Alzheimera ojcu umieszczonym w specjalistycznym ośrodku. Jeśli w Polsce zrzucisz z ramion swój krzyż, umiłowani w Chrystusie cię nim zatłuką.

miastowe wdrożenie postępowania wyjaśniającego sprawę reportażu „pod kątem naruszenia godności osoby chorej, ujawnienia wizerunku oraz danych osobowych”. Żeby było śmieszniej, zagroził, że sprawę zgłosi do rzecznika praw obywatelskich i rzecznika praw pacjenta. Szkoda, że w przypadku ujawnienia danych syna posłanki Magdaleny Filiks przez TVP akurat był zajęty trzymaniem głowy w dupie, ale... zdarza się.

Nawiasem mówiąc, pan Ryszard stał się nie tyle ofiarą reportażu, ile prawniczych populistów, którzy wydali komendę do ataku na dziennikarza nowej TVP „Neo-TVP” – jak napisał serwis wPolityce.pl, który stękał boleśnie po emisji materiału, „czy to ma być szacunek do bliskich?”. Ze wzruszenia odebrało mi dziewictwo.

pląsa się w przedziale wiekowym 75–84 lat. W grupie osób 55–64 lata zdiagnozowanych chorych jest blisko 20 tys. osób. Szczególną uwagę przykuwa jeden fragment: świadczenia (medyczne w ramach NFZ – przyp. red.) udzielano głównie w ramach podstawowej opieki zdrowotnej (POZ) – niemal 156 tys. pacjentów. Następnie w przychodniach specjalistycznych – 74,4 tys. osób, w tym w poradniach neurologicznych – 34,3 tys. osób.

W strukturze kosztów świadczeń w 2022 r. dominowały jednak świadczenia pielęgnacyjne i opiekuńcze oraz świadczenia udzielone w ramach długoterminowej opieki psychiatrycznej. W 2022 r. stanowiły 49 proc. spośród 190 mln zł przeznaczonych na refundację świadczeń udzie-

Obrzydliwe kaczątko Kaczyńskiego

czyli nowe przygody pośła Mejzy.

W połowie grudnia ubiegłego roku prezes PiS Jarosław Kaczyński poinformował, że jego partia podjęła uchwałę o połączeniu z Partią Republikańską – ugrupowaniem Adama Bielana. W wyniku tych rozsad poseł Łukasz Mejza, który zasłynął z wyludzenia środków unijnych i naciągania rodziców śmiertelnie chorych dzieci na lewe terapie, stał się członkiem Prawa i Sprawiedliwości. Tym samym można by rzec, że malarza dostała kiły. Jarosław Kaczyński bronił wówczas nowego partyjnego nabytku jak jastrząb. Wiele wskazuje na to, że adopcja Mejzy zaczyna się odbijać Kaczyńskiemu stęchłymi jajami.

Kiedy we wrześniu 2023 r. komitet wyborczy Prawa i Sprawiedliwości ujawnił listy kandydatów do sejmiku, obecność nazwiska skompromitowanego po kokardę Mejzy wzbudziła dreszcz obrzydzenia nawet wśród posłów prawicy. Nikt nie chciał być z nim kojarzony. Kaczyński miał w dupie partyjne grymasy i medialne podśmiewuchki, świadomie szedł w ilość, nie jakość. Dla kaczyków każda para rąk była na wagę złota, nawet tych upapranych po łokcie, jeśli nie po pachy, w gównie. Mejza wiernie służył swemu panu przez całą poprzednią kadencję, oddając głos na komendę i wylewając cysterny śliny na prawnicową modłę wszędzie tam, gdzie chciano go słuchać. Na miejsce na liście zapracował jak mało kto.

„Człowiek przycisk” Łukasz Mejza, znany także jako „Uzdrowiciel Mejzus”, mimo kiepskiego 11. miejsca na liście dostał się do parlamentu, uzyskując 10 162 głosy, a zrobił to jak zwykle w swoim

stylu, o ironio, mając w okężnicy prawo i sprawiedliwość. Łebski w kręceniu wałów poseł zaatakował znieścacka, urządzając internetowy blitzkrieg na lokalnych lubuskich serwisach, jak się przedko okazało, za pomocą farmy trolli, które nie cofnęły się nawet przed wykorzystaniem fotografii skradzionej ze zbiórki na leczenie chorej na białaczkę Ukrainki (pisaaliśmy o tym w tekście „Mejza w odpływie”, „NIE” nr 46/2023).

Dwie doby przed ogłoszeniem ciszy wyborczej krajobraz lubuskich wsi, miast i miasteczek pod osłoną nocy niczym kloaka efektami przemiany materii okrył się materiałami wyborczymi lizusa Kaczyńskiego. Często bez zgody właścicieli prywatnych posesji i wbrew przepisom ordynacji wyborczej. Cóż, oszczędnie gospodarząc, można się dorobić pleśni w lodówce, a nie poselskiego mandatu.

Mejza jechał po zwycięstwo bez trzymania. W samej Zielonej Górze, jednej ze stolic województwa lubuskiego, jego ludzie rozwiesili nielegalnie 1200 plakatów.

Jak sugerują zielonogórscy radni z Platformy Obywatelskiej, za cichą zgodą prezydenta miasta

Janusza Kubickiego, który choć bezpartyjny, nie tylko wprowadził Mejzę do polityki i pomimo licznych zarzutów wobec młodego pośła kręcił z nim lody, ale od kilku lat tkwi w cichej koalicji z partią PiS.

Plan powiódł się połowicznie, bo Mejza owszem, posłem został, ale prawica ostatecznie wybory przegrała. Kiedy widmo profitów z romansu z przydupasem prezesa obróciło się w rzeżące truchło, polityczni kochankowie, czując smród, prędko odwrócili wzrok.

Po fali krytyki wielkiej jak lej po bombie, mając w rychłej perspektywie wybory samorządowe, prezydent Zielonej Góry naliczył posłowi Mejzie karę za nieskrępowaną autopromocję. Choć zrobił tym sobie przy okazji polityczną łaskę, to jednak miał wobec przyjaciela gest: odpuścił mu co trzecią złotówkę za nielegalne billboardy i plakaty.

Jak wyliczył Dariusz Legutowski, zielonogórski radny PO, do naliczenia stawki opłaty dziennej za powieszenie materiałów nie tam, gdzie trzeba, przyjął ułamkową część metra kwadratowego 1 × 0,7 m, gdzie zgodnie z ustawą powierzchnia powinna być liczona od całego metra kwadratowego. Tym samym rachunek zamiast ponad 100 tys. zł wyniósł jedynie 78 tys. zł. Kubicki nie doliczył również kosztów zdjęcia plakatów przez służby miejskie czy przetransportowania ich do biura pośła. Jednak z dopierdolenia Mejzie cieszyła się cała Polska, a Kubicki pojawił się nawet w TVN.

Nieco mniej entuzjastycznie kolejną wtopę lubuskiego popychadła przyjęli posłowie PiS z Warszawy. Komitet wyborczy tej partii, który został poinformowany o sprawie, odpowiedział, że to samowolka, odpowiadając za wieszanie plakatów może tylko sam poseł, i zostawił Mejzę z rachunkiem w dupie.

Jeszcze brutalniej wypowiedział się w mediach poseł PiS Zbigniew Kuźmiuk, który podkreślił, że każdy startujący jest osobą dorosłą i wie, czym jest obowiązujące prawo.

Poseł Łukasz Mejza nie komentuje sprawy, chwilowo zniknął ze świecznika i social mediów. Może szuka nowej pozycji, będąc świadomy, że nie będzie już wygodnie spał z PiS-em na łyżeczce.

IDALIA DUBICKA



Dorzucam drwa do stosu Kąckiego.

Karma to jednak fajna dziwka

W bańce lewicowo-medialnej wrze. Red. Marcin Kącki z „Gazety Wyborczej” otworzył duszę przed czytelnikami i wyleciał z roboty. Wylot wydaje się całkowicie zasadny i wrzenie dotyczy głównie faktu, iż „GW” bezkrytycznie opublikowała jego megalomański strumień świadomości i nie wpadła na to, że może chodzić o ucieczkę do przodu.

Trzy książki o tym napisałem

W skrócie, bo długo nie warto: Marcin Kącki, prominentny reportażysta „GW”, autor tabuna książek, wydał z siebie długi na 30 stron maszynopisu autobiograficzny bełkot, minoderyjnie stylizowany na hiszpańskojęzyczną literaturę sprzed pół wieku („Ale tamtej nocy, po lekturze LeDuffa na barze w Amatorskiej, wbiłem sobie do głowy butelkę whisky, że nie potrafię tak szczerze jak on, że jestem już zmęczony, zapity, stęskniony za córkami, za miłością, że nienawidzę wszystkiego, co mnie zabijało na raty jak kredyt we frankach, że zaliczki na kolejne książki pobrane, a nienapisane, i że gardzę słowem »odpowiedzialność«”)... Głównie chwalił się w nim swoją twórczą płodnością, czyniąc to na modłę Hochwandera z „Misja”: „do cholery, trzy książki o tym napisałem”, „dwie książki o tym napisałem”, „zrobiłem o tym spektakl” – ale zasłonił to samochwalstwem płacziwą opowieścią o tym, jak cierpiał, pił i pisał, i jak molestował różne kobiety z tego pijanego cierpienia, ale jak wytrzeźwiał, to przeprosił, a one mu wybaczyły.

Na co odezwała się na FB jedna z tych kobiet – dziennikarka „Newsweeka”, absolwentka Polskiej Szkoły Reportażu, w której Kącki nauczał – z komunikatem, że owszem, molestował, ale wcale mu nie wybaczyła, zresztą o wybaczenie nie prosił, tylko domagał się wiwisekcji ich relacji. Panna dodała, że „ma na to dowód, bo rozmowę nagrała” (znać szkołę „Gazety Wyborczej”), i rozpętało się piekło. Kierownictwo gazety ogłosiło, że dopiero po publikacji usłyszało, iż PSR odsunęła Kąckiego od pracy ze studentami „kilka tygodni temu” po zarzutach wzmiankowanej wyżej dziennikarki i że w ogóle nic a nic nie wiedziało, ale... „doceniliśmy jego wyznanie, które uważaliśmy za szczerze”. Opublikowali je, biedacy, „nieświadomi, że może mieć drugie dno – wyprzedzające usprawiedliwienie własnych występków”. I teraz czują się oszukani.

Grand Press 2007

Zaryzykowałabym twierdzenie, że oszukiwanie „Gazety Wyborczej” przez redaktora Marcina Kąckiego ma długą tradycję.

W swoim mędlwym wyznaniu Kącki nawet się tym chwali, kiedy opowiada, że jego rodzina miała mało pieniędzy, bo „resztę zabierał komornik albo Balcerowicz, jak to krzychał wtedy ten nieszczęśnik Lepper, z którym niedługo skrzyżuje mnie los, z fatalnym dla niego skutkiem”.

Marcin Kącki był bowiem autorem „reportażu” (używam tego terminu w bardzo umowny sposób) zatytułowanego „Praca za seks w Samoobronie”. Jego bohaterka Aneta Krawczyk opowiadała mu niezwykle wymyślne historie o molestowaniu przez Andrzeja Leppera i Stanisława Łyżwińskiego, a on zapisywał je z kronikarską pieczołowitością. Obrzydliwa historia zabiła najpierw Samoobronę, później – już dosłownie – Leppera, a w międzyczasie postawiła obu polityków przed sądem. W pierwszej instancji po procesie, który został utajniony – dość zbędnie, zwążywszy wylewność, z jaką Krawczyk opowiadała Kąckiemu i innym dziennikarzom o szczegółach rzekomych gwałtów – Lepper dostał dwa lata, a Łyżwiński pięć. W apelacji Łyżwińskiemu karę zmniejszono o półtora roku, a wyrok Lepperowi sąd uchylił i odesłał do ponownego rozpatrzenia. Czego lider Samoobrony nie dożył.

Dziś nie ma cienia wątpliwości, ile wart w sferze faktograficznej był cały ten tekst, który uczynił Kąckiego gwiazdą reportażu i przyniósł mu nagrodę Grand Press 2007 w kategorii „dziennikarstwo śledcze”.

Reportaż z dupy

Zacznijmy od Stanisława Łyżwińskiego. Historia gwałconej i upokarzanej niewolnicy seksualnej słabo koresponduje z późniejszymi opowieściami Krawczyk dla mediów: „Wszyscy wiedzieli, że ojcem mojej najmłodszej córki jest Stanisław Łyżwiński, tylko mamie nie powiedziałam. On ma dwóch synów, córkę Kasię stracił w wypadku samochodowym, gdy miała sześć lat. Miałam nadzieję, że nasza córeczka mu ją zastąpi. Ale Łyżwiński nie interesował się dzieckiem. Pół roku temu poszłam na konwent

cyjny artykuł śledczy zalicza się do gatunku nazywanego w środowisku „tekstami z dupy”.

Za stosowne uznałeś masturbację

Może nawet bardziej dosłownie, niż przysłoby nam do głowy.

„Czemu nie napisałeś, że moje wielokrotne NIE potraktowałeś jak niebył, czemu nie padło, jak rzuciłeś do mnie, że »teraz odmawiasz, a po 30-stce nie będziesz już tak wybrzydzać i będziesz ruchać się jak popadnie«? Jak za stosowne uznałeś rozebranie się i masturbację mimo mojego ewidentnego przerażenia?” – pyta Kąckiego dawna studentka w swoim dramatycznym wpisie na Facebooku. Być może, opisując rzekome swawole Leppera, Kącki nie cytował łgarstw Kraw-



Rys. MARCIN CHUDZIK

przedwyborczy z córką. Nagle dziecko się wyrwało, pobiegło do Łyżwińskiego i złapało go za nogę. Zrobił się czerwony, ale nie wziął małej na ręce”... Zarzuty Krawczyk pod adresem Łyżwińskiego bardzo przypominają zemstę porzuconej kochanki niż dramatyczne wyznanie ofiary gwałtu, choć oczywiście nietrudno uwierzyć, że wiceprzewodniczący dużej partii parlamentarnej wykorzystywał swoją pozycję do skłonienia młodej działaczki, żeby poszła z nim do łóżka.

W części dotyczącej Leppera nie ma nawet tego kawałka faktu – cała historia jest jednym wielkim łgarstwem. W marcu 2011 r. sąd apelacyjny uchylił w całości wyrok sądu pierwszej instancji z lutego 2010 r., zarzucając mu obrazę zasad postępowania dowodowego, co pokrywało się z tym, co o procesie mówił Lepper: iż sąd nie dopuszczał żadnych przedstawianych przez niego dowodów, a Anecie Krawczyk wierzył we wszystko.

Jak w to, że tego a tego dnia Lepper gwałcił ją jak zwykle i tak samo wyglądał, podczas gdy w tym akurat czasie szef Samoobrony miał złamaną obojętność i gips od szyi do pasa. Albo jak molestował ją w biurze w Tomaszowie, podczas gdy cała Polska widziała go w TVP w programie „Forum” na żywo. Albo jak zmusił ją do seksu w hotelu poselskim w Warszawie, podczas gdy bilet i dane LOT potwierdzały, że akurat był w samolocie do Gdańska. Takich bzdur była mnogość i gdyby red. Kącki zachował „szczególną staranność i rzetelność przy zbieraniu i wykorzystaniu materiałów” (prawo prasowe, art 12.), wiedziałby, że jego sensa-

czyk, tylko swoje własne fantazje?

Zdanie wyjaśnienia: biorę udział w tym dorzucaniu drow do stosu Kąckiego, albowiem ten główniany paszkwil, którym podpalił stos pod Lepperem, zawsze budził we mnie najgłębsze obrzydzenie. I odczuwam niską, ale nieodpartą radość z faktu, iż

18 lat po tym, jak Kącki zamordował Leppera wydumaną seksaferą, sam ginie od tej samej broni, choć tym razem raczej niewydumanej.

Żeby zacytować najnowsze – i ostatnie – dzieło wybitnego reportażysty w „GW”: „karma to jednak fajna dziwka”.

Fakt, że akurat zbiegło się to w czasie ze sprawiedliwością, która dopada autorów drugiej dętej antylepperowskiej afery – Kamińskiego i Wąsika – czyni z niej dziwkę fenomenalną.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ Zwolennicy *in vitro* chcą manipulować pojęciem prawa do życia i **drastycznie ograniczyć jego zakres poprzez mrożenie zarodków**. To tak, jakbyśmy **przymusowo poddali dorosłego człowieka śpiączce na kilkadziesiąt lat**. [...] 300 tysięcy osób to jest mniej więcej tyle, ile osób rocznie rodzi się obecnie w Polsce. Gdyby tym wszystkim ludzkim istnieniom pozwolono się urodzić, **toby było mniej więcej tak, jakbyśmy otrzymali dodatkowy rok urodzeń. Te osoby są powoływane do życia nie po to, by się urodziły, tylko by zostały zamrożone.**

mec. Nikodem Bernaciak, Instytut Ordo Iuris, TV Trwam, 6 stycznia

■ **Formalizacja związków homoseksualnych** jako związków partnerskich będzie sprzeczna z Konstytucją RP, bo ona przewiduje tylko jeden rodzaj związku, który pozostaje pod szczególną ochroną. Tu nie chodzi o wolność, o równość, tylko o **nachalne promowanie określonych poglądów lewicowych, liberalnych, genderowych** i zwalczanie innych, które poddają krytyce racjonalność poglądów. W dużej mierze są one nieracjonalne, niemające żadnych podstaw w dobrze rozumianej nauce.

dr Marcin Romanowski, poseł Suwerennej Polski, Radio Maryja, 3 stycznia

■ **Wobec groźby wybuchu nowej wojny światowej** najistotniejsze jest, abyśmy nadal posiadali własne państwo, choćby o ograniczonej suwerenności. [...] Dlatego tak ważne jest **niedopuszczenie do federalizacji Unii Europejskiej**, a z pewnością my w takiej strukturze nie powinniśmy uczestniczyć. [...] Najważniejsze jest, aby **utrzymać zbiorową tożsamość zarówno religijną w sensie obecności rzymskiego katolicyzmu w przestrzeni publicznej**, jak i kulturową w znaczeniu dominacji łacińskiego wzorca, a one obie wywodzą się z Południa. Bez tego Polski nie będzie, zamienimy się w jakąś **bezsztatną breję**.

Lech Mażewski, „Do Rzeczy” nr 1/559, 7 stycznia

■ Mamy do czynienia z **Kulturkampferem, który przeszedł Europę walcem od 1968 roku, niszcząc klasyczne tradycyjne wartości i instytucje jak małżeństwo**, zasadę równości będącą podstawą sprawiedliwości. Mamy do czynienia z sytuacją, w której najważniejsze zasady i instytucje zostały zdegradowane, zdeprawowane. [...] Jako mowę nienawiści próbuje się klasyfikować pewne wypowiedzi, zachowania, które w żaden sposób nie mają charakteru nienawistnego, tylko przypominają o najbardziej podstawowych, właściwych dla człowieka sprawach, wartościach czy instytucjach.

dalej Romanowski

■ To, co wydarzyło się w tym sejmie wokół **zoo-technicznej procedury in vitro**, na którą popyt gwarantowany stworzyła właśnie pierwsza ustawa proceduralna w X kadencji, to nic innego jak akt quasi-religijny. Z abdykacją rozumu. [...] Dodajmy do tego rejestru handel ludźmi, handel organami. Do tego rozmaite specjalnie spreparowane doktryny. [...] Mam nadzieję, że wprowadzimy to obłądne, zbrodnicze pojęcie „śmierci mózgowej” na jeden z naszych zespołów parlamentarnych. To jest niewątpliwie jeden z **flagowych projektów „cywilizacji śmierci” tuż obok przemysłu aborcyjnego i propagandy dewiacji**.

Grzegorz Braun, „Do Rzeczy” nr 1/559, 7 stycznia

■ Przekraczanie każdego z przykazań wywołuje nieco inne skutki. Myślę jednak, że warto zwrócić uwagę na to, co zauważył kiedyś kardynał Tomasz Kajetan, a mianowicie wykazuje on w jednym ze swoich pism, że **człowiek, grzesząc, konkuruje z Bogiem**, a gdy trwa w grzechu, **rodzi się w nim absurdalna pokusa zabicia Boga** (bogobójstwo). **Potwierdzenie tego faktu znajdujemy u rozmaitych „wojujących” ateistów** – zawsze u początku ich **absurdalnej postawy** stoi trwanie w grzechu, czyli zatwardzałość, mówiąc językiem biblijnym.

ks. prof. Janusz Królikowski, serwis PCh24.pl, 7 stycznia

Wybrał KLECHA



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

WIEŚCI Z KRUCHTY

✦ Z przypływem otworzył okres wizyt duszpasterskich ksiądz Krzysztof Dobrogowski z Narwi (woj. podlaskie). Duchowny ustalił dla swoich parafian cennik, który choć nie jest obligatoryjny, wbija w głębię: gospodarstwo domowe, w którym zamieszkuje rodzina, winno przygotować 500 zł za posługę, osoby zamieszkujące samodzielnie – 250 zł, a od wszystkich wymienionych proboszcz oczekuje 75 zł składki na kościelny organistów. Cennik nie spotkał się z ciepłym przyjęciem mimo zapewnień, że jeśli ktoś nie ma pełnej kwoty, można uiścić opłatę tradycyjnie – co łaska. Kwestię wynagrodzenia dla organisty ksiądz proboszcz skwitował krótko: „Nie ma nic za darmo”.

✦ Pełniący posługę w parafii św. Alberta w Koziegłowach niedaleko Poznania ksiądz Daniel Wachowiak z obrzydzeniem skomentował w swoich social mediach, że w Polsce zarejestrowanych jest obecnie ponad 15 tys. osób świadczących usługi wróżbiarskie, zatem „Polacy się laicyzują, poganieją i idiocieją”. Mając na uwadze liczbę parafii w kraju nad Wisłą, pragniemy zauważyć, że przyganiał kocioł gamkowi.

✦ Legnicki biskup pomocniczy Piotr Wawrzynek zawiązał proboszczowi ks. Andrzeja Ł. z parafii św. Maternusa w Lubomierzu koło Lwówka Śląskiego. To efekt zarzutów jednej z parafianek, która twierdzi, że proboszcz utrzymywał intymne kontakty z parafiankami. Jak wynika z opublikowanych informacji, Monika R. i jej mąż Roman R. zarzucają duchownemu utrzymywanie intymnych kontaktów z kobietą oraz innymi parafiankami. Co więcej, ksiądz miał dopuścić się rozgrzeszenia z grzechu cudzołóstwa. Jurny proboszcz nie przyznaje się do winy, dowody zgromadzone w sprawie uważa za sfabrykowane, poinformował również o skierowaniu sprawy do sądu cywilnego celem uzyskania wysokiego zadośćuczynienia za wyrządzone krzywdy. Biedaczysko...

✦ Ks. Marek Lis, profesor doktor habilitowany nauk teologicznych, pracownik Uniwersytetu Opolskiego, skomentował w swoich social mediach decyzję ministra kultury Bartłomieja Sienkiewicza o postawieniu w stan likwidacji rozgłośni regionalnych Polskiego Radia, w tym Radia Opole. „Gdy Niemcy w czasie wojny mówili o likwidacji, oznaczało to rozstrzelanie. Efekt działań mścicieli kierowanych przez podpułkownika służb specjalnych skierowanych przeciw polskiej kulturze, muzyce, prawu do informacji będzie podobny? Barbarzyńcy Tuska” – napisał duchowny. Księdzu Markowi zalecamy więcej lektury, a mniej radia i telewizji.

✦ Ku przestrodze: jak ustaliły czeskie media, pod koniec grudnia do szpitala w ciężkim stanie trafił proboszcz parafii z Czeskich Budziejowic. Jak się okazało, ksiądz doznał poważnych obrażeń okolic intymnych. Według doniesień portalu Novinky.cz poszkodowany miał odciętego penisa. U duchownego stwierdzono również wirusowe uszkodzenie centralnego układu nerwowego wskutek kleszczowego zapalenia mózgu, przez co niemożliwe jest ustalenie dokładnego przebiegu wydarzeń. Według złośliwych plotek ksiądz zobaczył coś tak niewiarygodnego, „że urwało mu jaja”. Zalecamy dokładne wytrzeźwienie sutanny po spacerach na łonie natury.

KLECHA

Wieści na użytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.



Kieszenie pełne atomu

PO i PiS od dekady z okładem budują tę samą elektrownię atomową.

We wrześniu 2012 r. na pytanie o termin uruchomienia pierwszego w Polsce bloku jądrowego prezes PGE Energia Jądrowa i PGE EJ1 Aleksander Grad odpowiedział: „To będzie 2024 rok. To jest projekt bazowy. Natomiast 2023 rok to wersja optymistyczna”. Rok 2023 właśnie się skończył. W roku 2024 pod budowę polskiej atomówki nikt nie wbija nawet łopaty. Co nie przeszkadza temu, że tak jak od lat, kilkanaście osób przytuli za opowieści o budowie naszej energetyki jądrowej miliony złotych.

Już za chwileczkę...

Grad swoje banialuki wygłaszał ledwie parę miesięcy po tym, jak z bycia ministrem w Tuska wskoczył w buty budowniczego reaktora atomowego. Dzięki temu – zdawałoby się – odstawieniu od koryta zarobki skoczyły Gradowi kilkukrotnie. Jedne szacunki wspominały, że za bycie prezesem Grad dostawał ok. 100 tys. zł miesięcznie. Według innych – ledwie 55 tys. Co i tak było trzykrotnością jego pborów jako ministra.

Pierwsza polska elektrownia jądrowa miała mieć moc ok. 3000 MW, ale ostatecznie projekt atomowy zaplanowano jako dwie elektrownie o łącznej mocy 6000 MW. Ministerstwo Gospodarki stwierdzało, że budowa pierwszej elektrowni jądrowej nastąpi

w latach 2019–2024, a kolejnego bloku – w latach 2025–2030.

Naród był atomem zainteresowany żywotnie, zwłaszcza że CBA zgłosiło do prokuratury sprawę potencjalnego wyprowadzenia z PGE EJ1 ok. 11 mln zł. Rozeszło się po kościach, bo wystarczyło, że spółka zaznaczyła, że chodzi o umowy podpisane, zanim u jej sterów zasiadł Grad. W lipcu 2013 r. Grad uraczył naród kolejnymi informacjami. A to, że PGE wprowadziła przedsięwzięcie elektrowni jądrowej na „realną ścieżkę realizacji”. A to, że nowy harmonogram zakłada, że pod koniec 2024 r. będzie możliwość uruchomienia pierwszego bloku elektrowni jądrowej. „To realny harmonogram, ale bardzo napięty. Wymaga żelaznej konsekwencji po stronie inwestora, ale i administracji” – rzekł Grad i dodał: „Uruchomiliśmy badania lokalizacyjne, na finiszu jest wybór doradcy technicznego, jesteśmy zaawansowani, jeśli chodzi o postępowanie zintegrowane”.

Czym było „postępowanie zintegrowane” i „realna ścieżka realizacji”, można się było przekonać pół roku później, kiedy to 31 stycznia 2014 r. – trzy dni po przyjęciu przez rząd programu energetyki jądrowej – Grad zrezygnował z kierowania PGE EJ1. „Odcchodzę bez odpawy i zostawiam projekt budowy elektrowni jądrowej na zaawansowanym etapie”

– podsumował swoją atomową pracę, po czym przeniósł się z dniem 1 lutego na fuchę wiceprezesa Tauronu i do końca roku na tym stanowisku zarobił 1 mln 63 tys. zł, czyli blisko 120 tys. zł miesięcznie.

Atomowa wydmuszka, w której za symulowanie pracy zarabiał się w zarządzie spółki ok. 100 tys. zł, zainteresowała „Gazetę Wyborczą” i posła Dariusza Jońskiego, podówczas rzecznika prasowego SLD. „Nie może być tak w Polsce, że kolejni politycy Platformy Obywatelskiej dostają stanowiska za 50 tys. miesięcznie, a po kilku latach odchodzą, nie rozliczając się z nikim” – tokował Joński, domagając się publicznego rozliczenia byłego ministra skarbu Aleksandra Grada z kierowania jądrowymi spółkami. Jońskiemu przyszyła z Gradem przysłała się o tyle, że atomowe spółki PO nauczyły go czujności, która przyszyła się kilka lat później podczas kontroli poselskich w pisowskich zarządkach CPK, Izery i pałacu Saskiego.

Już za momencik...

Po Gradzie atomem jako prezes zaczął zajmować się Jacek Cichosz. Ponieważ nie był nazwiskiem nośnym medialnie, nikt się nie interesował spółką. Niesłusznie. Wszak z początkiem 2014 r. w dwóch lokalizacjach – w gminie Choczewo i gminach Gnie-



Rys. OBYWATEL JANEK

wino i Krokowa w woj. pomorskim – realizowano badania lokalizacyjne i środowiskowe, mające potwierdzać możliwość budowy elektrowni jądrowej. Chyba coś jednak nie poszło, bo jeszcze w grudniu tego samego roku zerwano umowę ze spółką Worley-Parsons właśnie na badania środowiskowe i lokalizacyjne. Gdy do władzy dochodziło PiS, atomowa spółka rządu PO była więc w tym samym miejscu, z którego pięć lat wcześniej startowała.

W początku stycznia 2016 r. Prawo i Sprawiedliwość nie miało pojęcia, co zrobić z atomem w Polsce. Wiedziało natomiast, że pogrzebanie PGE EJ1 byłoby błędem. Zamiast unicestwić nic nierobiącą firmę, nowa ekipa obsadziła ją swoimi ludźmi.

W 2018 r. NIK zrobiła kontrolę, której zasadniczy wniosek brzmiał tak: „Spółka PGE EJ1 odpowiedzialna za realizację zadań związanych z przygotowaniem i budową pierwszej elektrowni jądrowej w Polsce nie wykonała do końca września 2017 r. żadnego z działań przewidzianych w I Etapie PPEJ”. Rok później po sejmowej interpelacji można się zaś było dowiedzieć, że koszty funkcjonowania PGE EJ1 w latach 2010–2018 wyniosły 447 mln zł. W samym tylko roku 2018 zamknęły się kwotą 108 mln zł.

Przez osiem lat spółka jedynie na wynagrodzenia wydała 102 mln zł. Najwięcej w latach 2015–2016, gdy na pensję szło 20–21 mln zł rocznie.

W 2018 r. w spółce pracowało 78 osób. W radzie nadzorczej PGE EJ 1 zasiadało aż dziewięć osób. Każda z nich miesięcznie dostawała 4,4 tys. zł.

PiS na czele spółki postawiło Krzysztofa Sadłowskiego, który wiele lat nie miał nominacji prezesowskiej, więc był tylko p.o. prezesa. Za tę zaszczytną fuchę facet pobierał do 2020 r. niemal 40 tys. zł miesięcznie.

Według harmonogramu w 2019 r. powinna się rozpocząć budowa elektrowni. Tymczasem nawet według

pisowskiego resortu energii pomimo pochłonięcia setek milionów złotych spółka znajdowała się praktycznie w punkcie wyjścia.

Przez prawie 10 lat funkcjonowania PGE EJ1 nie była w stanie zakończyć choćby badań lokalizacyjnych i środowiskowych, które miały wskazać miejsce, gdzie stanie elektrownia.

W 2019 r. wciąż nie było ostatecznej decyzji, czy elektrownia atomowa w ogóle powstanie.

Ruszyło się dopiero w roku pandemicznym. Wywalono Sadłowskiego, a potem należącą do spółek skarbu państwa firmę upaństwowiono. Teraz nazywa się Polskie Elektrownie Jądrowe.

Rząd PiS dogadał się z rządem USA i ruszyły poważne rozmowy o budowie atomówki z pomocą Amerykanów.

...zacznie się kręcić

Wreszcie w listopadzie 2022 r. gabinet Morawieckiego uznał za niezbędną budowę elektrowni jądrowej o mocy elektrycznej do 3750 MW na obszarze gmin Choczewo lub Gniewino i Krokowa na podstawie amerykańskiej technologii. W maju 2023 r. podpisana została umowa PEJ z konsorcjum amerykańskich firm Westinghouse i Bechtel mającym zaprojektować i wybudować elektrownię jądrową na

Pomorz. 26 października wojewoda pomorski wydał decyzję o lokalizacji elektrowni. Powstanie w gminie Choczewo, w lokalizacji Lubiawo-Kopalino. Tuż obok włości braci Obajtków. W miejscu, które wybrano jeszcze za czasów prezesury Grada.

Elektrownia, na którą trzeba wyłożyć 60 mld zł, ma zacząć hulać w 2033 r. Znaczy za taki sam czas, za jaki kiedyś swoją elektrownię przewidywał Grad.

Czy to znaczy, że polska atomówka może nie powstać? Ależ oczywiście.

Czy wszystkie buzie już roześmiane?

Rok temu Amerykanie z Westinghouse proponowali objęcie 10 proc. udziałów w spółce celowej odpowiedzialnej za budowę elektrowni. To było dla Morawieckiego za mało i rząd propozycję inwestycyjną opuścił, twierdząc, że sam znajdzie całość kasy. Tymczasem kilka tygodni temu doradca Tuska, ekspert energetyczny

Koalicji Obywatelskiej Grzegorz Onichimowski stwierdził, że amerykańscy partnerzy powinni przejąć udziały w kapitale, aby zmniejszyć ryzyko inwestycji. Wskazywał na co najmniej 30 proc. „Jesteśmy dostawcą technologii Westinghouse, a nie inwestorem kapitałowym w projektach” – odpowiedział na to prezes Westinghouse Electric Poland, każąc Onichimowskiemu spadać na drzewo.

Rola Westinghouse jest dla inwestycji kluczowa. Jeśli firma się obrazi, to o elektrowni można zapomnieć. Gdyby się wycofała, wszystkie zgody lokalizacyjne i środowiskowe trzeba by załatwiać na nowo. Co oznacza kilka lat w plecy.

Tymczasem Westinghouse wścieka się teraz na polski rząd za to, że na terenie Rzeczypospolitej powstaje konkurencyjny projekt atomowy. Druga w Polsce elektrownia jądrowa to wspólne przedsięwzięcie PGE PAK Energia Jądrowa oraz koreańskiego koncernu KHNP. Co istotne, Koreańczycy deklarują, obok dostarczenia technologii, także zaangażowanie kapitałowe. Siłownia ma ruszyć w 2035 r. w Koninie-Pątnowie i mieć moc 2800 MW.

Westinghouse od lat sądownie ściga po świecie Koreańczyków, uważając, że transfer technologii jądrowych z Korei Południowej wymaga zgody władz USA i oczywiście Westinghouse. KHNP uważa, że nie musi nikogo pytać. Na co – jak donoszą dobrze poinformowani – amerykańska firma reaguje, strasząc zerwaniem kontraktów kraje, w których ma budować elektrownie. I jeśli postraszy niechętnych jej doradców Tuska, to

umowę się zerwie, a elektrownia atomowa w budowie przez kolejne lata znów będzie genialną synekurką dla przyjaciół władzy.

TADEUSZ JASIŃSKI

Zagłuszani przez ekologów fachowcy twierdzą, że bez problemu moglibyśmy Niemcom w hydroenergetyce dorównać. Ba, gdybyśmy budowali elektrownie szczytowo-pompowe, czyli takie, gdzie wodę z dolnego zbiornika przepompowuje się do górnego, gdy kraj ma mniejsze zapotrzebowanie na prąd, to byłoby co robić z magazynowaniem nadwyżek z fotowoltaiki w dni słoneczne i z wiatraków, gdy bardzo wieje. Dziś panele i śmigła są w takich chwilach odłączane, a prąd w nich produkowany niczem nie służy.

Porażająca logika

Tymczasem dla ekologów budowa elektrowni wodnych ma negatywny wpływ na przepływy w rzekach i migrację ryb. Powoduje utratę siedlisk, uniemożliwia transport osadów i pogłębia erozję, powodując lokalnie suszę. I dlatego „prawdziwy ekolog” energii wodnej nie może nazywać zieloną. Tezę tę ekologowie ubogacają tym, że ok. 7 proc. gazów cieplarnianych emitowanych przez człowieka pochodzi ze zbiorników zaporowych, które wykorzystywane są do produkcji energii. Bo zalewy przy hydroelektrowniach na całym świecie emitują rocznie do atmosfery 48–82 mln ton dwutlenku węgla i 3–14 mln ton metanu. A to dlatego, że w wodzie rosną, a potem obumierają glony i żyjątka, które przecież gniją.

Gdyby więc zbiorników wodnych przy tamach nie było, wodorostów, ryb i żabek też by tam nie było, z czego jako ludzkość mielibyśmy tylko korzyść. Ponadto wydajność takich elektrowni wodnych nie jest najwyższa. No i mogą powstać tylko w specyficznych miejscach wymagających przebudowania krajobrazu, co wiąże się z wycinaniem drzew i zalewaniem obszarów zamieszkiwanych przez motylki i inne nieumiejące żyć pod wodą stworzenia.

Niektórzy z miłośników przyrody twierdzą też, że elektrownie wodne są odpowiedzialne za zwiększenie ryzyka powodzi, naruszenie równowagi biologicznej rzeki, wysychanie lasów i zubożenie ekosystemu wodnego. No i oczywiście za uniemożliwienie lub ograniczenie migracji ryb. Nie wspominając już o ich uszkodzaniu, gdy przepływają przez turbiny.

Duda puszcza oczko

Tyle że dzisiejsze elektrownie wodne to obiekty wszechstronne. Nawet niedużym inwestycjom towarzyszą sztuczne korytarze migracji dla ryb, tzw. przepławki, dzięki którym nie są miażdżone w turbinach. Zbiorniki przy elektrowni magazynują wodę, co jest ogromną zaletą w epoce klimatycznych zawirowań i krzącącego widma powodzi.

Pamięta ktoś protesty ekologów podczas budowy zapory wodnej w Czorsztynie? Miały być zalane wsie, wycięte lasy, zmiana mikroklimatu, plaga komarów. Było przykuwanie się łańcuchami młodzieży w poprzek drogi prowadzącej na budowę. A potem przyszyła powódź tysiąclecia, przed którą pół Polski położonej poniżej Czorsztyna tama ocalała. Spiętrzenie rzeki pomogło wtedy w zatrzymywaniu nadmiaru wody. Dziś zaś pozwala miejscowym zarabiać na wodnych atrakcjach serwowanych turystom pod Pieninami.

Dawno temu funkcję tzw. małej retencji, polegającej na gromadzeniu wody w małych zbiornikach i podpiętrzeniu wody w korytach rzek, rowach lub kanałach, pełniły młyny wodne. Wraz z powstałymi przy nich zbiornikami tworzyły one na rzekach systemy kaskad, dzięki którym możliwe było za-

Ekologiczne barbarzyństwo

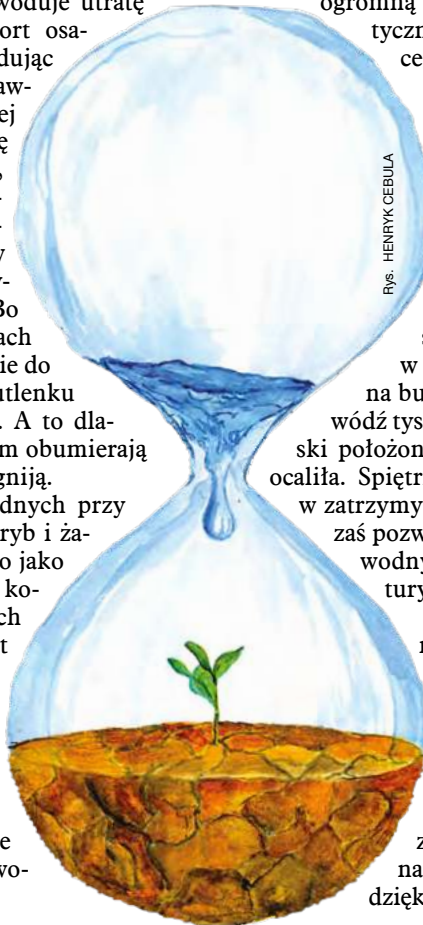
Zbiornik Goczałkowicki jest tworem całkowicie sztucznym. Został utworzony przez ludzi w 1956 r. Jego powierzchnia to 3200 ha. Zapora ma długość 2980 m. Na Zbiorniku Goczałkowickim zaobserwowano 258 gatunków ptaków, z czego 113 lęgowych. Kompleksy zbiorników Zabrzyszczak i Maciek, położone na wschód od zapory Zbiornika Goczałkowickiego, cechują się równie bogatą fauną – stwierdzono na nich lub w bliskim otoczeniu 225 gatunków. Stanowi to około 50 proc. krajowej fauny ptaków.

W obrębie Zbiornika Goczałkowickiego pomieszkują 16 gatunków z Załącznika I Dyrektywy Ptasiej, czyli gatunków zagrożonych wyginięciem i podatnych na szczególne negatywne zmiany w ich środowisku naturalnym. Okolice zbiornika są największym stanowiskiem lęgowym ślepowrona. Obiekt ten jest również jedną z najważniejszych ostoi bączka, czapli purpurowej i rybitwy. Od czasu do czasu można obserwować tam gatunki przylatujące z południa, jak warzęcha czy ibis kasztanowaty. Jest siedliskiem wielu ginących gatunków wpisanych na Czerwoną Listę Zwierząt Kregowych Województwa Śląskiego. Utworzony dzięki zaprze Zbiornik Goczałkowicki jest również jednym z najważniejszych w kraju śródlądowych przystanków migrujących ptaków w okresach jesiennym i wiosennym. No i niemal w całości stanowi obszar Natura 2000 Dolina Górnej Wisły.

T.B.

pobieganie obniżeniu poziomu wody w okresie suszy i spowolnieniu spływania jej do Bałtyku. Teraz zadanie to mogłyby pełnić małe elektrownie wodne. Oprócz – oczywiście – produkowania dziesięciokrotnie tańszego prądu.

Na przeszkodzie budowie przydomowych elektrowni wodnych stoi nie tylko koszt całego przedsięwzięcia, wynoszący co najmniej kilkaset tysięcy złotych, ale przede wszystkim państwo. Proces uzyskiwania pozwoleń administracyjnych, a nade wszystko decyzji środowiskowej i wodnoprawnej od „ekologicznie” nastawionych do hydroenergetyki urzędników jest nie do przejścia. Bo, jak wiadomo, każdy ciek wodny w Polsce jest własnością państwa. Państwa, którego prezydent prawie cztery lata temu rozsnął swoją wizję. „Chciałbym, żeby przy każdym domu było oczko wodne. Nie tylko domu jednorodzinnym, ale także domach wielorodzinnych. Żeby jak najwięcej tych małych zbiorników wodnych powstawało” – rzekł Andrzej



PiS-u już nie ma, ale czeka nas jeszcze całkiem niezły wysryw naprawdę złych filmów zrealizowanych na zamówienie tamtej ekipy. Trzeba przyznać, że nie tylko my produkujemy filmy na miarę Trzeciego Świata, tzw. Trzeci Świat też je macha, a my – ki chuj? – je sprowadzamy do siebie. Firma dystrybucyjna Galapagos właśnie uraczyła nas dziełem „Matka Teresa i ja”.

Znacie tego rodzaju filmy: „Marilyn Monroe i ja”, „Miś Uszatek i ja”, „Lady Di i ja”. Kiedyś specjalizowały się w nich telewizje zaspokajające ego amerykańskich gospodyń domowych. Można było, że „Matka Teresa i ja” (reż. Kamal Musale) też im się spodoba. A może spodoba się też kilku Polkom. Bo inaczej co? Wycieczki szkolne czy wycieczki z parafii? Wycieczki z klubów seniora czy z onkologii? Wszyscy już wiemy (nie wiemy?), że nasza dobra Matka Teresa specjalizowała się w dobrym umieraniu kalkuckiej biedoty. Czułeś, że żyłeś? To teraz pocuj, że zdychasz! A wszystkie pieniądze, które MT potrafiła lepiej od Zelenskigo wyżebrać, wylądowały częściowo w Watykanie Wojtyły, a jeszcze w większym procentie na kontaktach zakonu Zgromadzenia Sióstr Misjonarek Miłości i tam – uwaga! – pozostaną. Matka Teresa tej forsy nawet nie potrafiła albo nie chciała przepieprzyć, co nie oznaczało, że można było ruszyć choć grosz, aby umierającym kupić aspirynę (boli umieranie? Boli, bo ma boleć!) czy pampersy dla dorosłych, gdy już popuszczają (Cierpimy, cierpimy dla Chrystusa i jego Mamusi!).

Kino dające do myślenia

Kilka dni temu na Filmwebie niejaka „floresqa” stwierdziła, że ten film to kino dające do myślenia, i machnęła recenzję: „Jestem poruszona sposobem, w jaki została ukazana Matka Teresa w relacji z Bogiem, z drugim człowiekiem, z sobą samą. Bez fajerwerków i koloryzowania, autentycznie i z prostotą. Film dotyka różnych problemów, z którymi boryka się współczesny człowiek – zwłaszcza kwestii życia i śmierci oraz potrzeby kochania i bycia kochanym. Bardzo przemyślana fabuła ukazuje życie kilku kobiet, których losy splatają się ze sobą (o tych powiązaniach widz dowiaduje się stopniowo). Każda z nich przeżywa swoje rozterki, trudności, wzloty i upadki. Film bez happy endu w stylu hollywoodzkim, ale niepozbawiony dobrego zakończenia. Inspirujący i skłaniający do refleksji. Co wrażliwi na pewno docenią także piękne zdjęcia i muzykę (wszak jedna z głównych bohaterek jest skrzypaczką)...”. Oj, „floresqa”, siedziało się w oślej ławce? O czytanie Hitchensa, który napisał biografię Matki Teresy, „floresqi” nie podejrzewamy, ale gdzie się wychowywała, aby nie mieć pojęcia o tym, co wyciągnięto Matce Teresie?

Pięknie umrzeć

„Umierającemu mogę pomóc, jeśli mogę pomóc mu pięknie umrzeć. Bo jeśli ta osoba pozostawiona byłaby na ulicy sama, umarłaby jak zwierzę, podczas gdy w naszym domu, w naszych rękach oni umierają pięknie, bo umierają z Bogiem. Kochani i otoczeni opieką” – powiedziała zakonnica w wywiadzie na antenie radia BBC (1970 r.). Toż pomogłaś, babo, niejednemu! „Nie możemy stanąć w obecności Bożej, jeśli nie narzucimy sobie wewnętrznej i zewnętrznej

Cześć, Tereska!

Kino marne, ale święte.

ciszy. Musimy przywyknąć do bezruchu duszy, oczu, języka” – bredziła, narzucając pariasom jeszcze większą nędzę.

W 1979 r. Matka Teresa otrzymała Pokojową Nagrodę Nobla. Nazywano ją Aniołem Umierających. A Jan Paweł II, sam stojący u grobu, beatyfikował ją 19 października 2003 r. „Pamiętajmy, że dla Matki Teresy z Kalkuty zarówno w modlitwie, jak i w działalności misyjnej wzorem była zawsze Matka Boska” – rzekł przy tej okazji. Serio? No to Jezusek miał strasznie traumatyczne dzieciństwo w towarzystwie manipulacji i psycholki. Nie ma co się chłopakowi dziwić, że uciekł na pustynię, a dalej postawił na wyłącznie wesołą męską kompanię...

Zaatakowana przez diabła

4 września 2016 r. Ojciec Święty Franciszek kanonizował Matkę Teresę z Kalkuty. „Matka Teresa przez całe swoje życie była hojną szafarką Bożego miłosierdzia” – mówił.

Tak, hojność to istotnie znak rozpoznawczy Matki Teresy.

Brak leków przeciwbólowych, brak jednorazowych igieł, brak, sam brak... Ale nie dla siebie – z pomocy lekarzy Matka Teresa korzystała skwapliwie.

W późnym wieku przeszła angioplastykę. Pierwszy zawał serca miała w 1983 r. podczas audycji u Jana Pawła II. Zabił ją piąty. Całe życie cierpiała na bezsenność, co sprawiało, że z dużą lekkością porównywała się do Jana od Krzyża (tego od „Nocy ciemnej”). Jedni na taką okoliczność wałają konia, lykają pigułki nasenne, piją gorące mleko. Tereska? Tereska nie śpi, Tereska ma egzorcyzmy... „Kiedy lekarze powiedzieli, że nie mogą znaleźć medycznego powodu jej bezsenności, pomyślałem, że może została zaatakowana przez diabła. [...] Matka była tak świętą osobą, że była bardziej narażona na niepokoje



złych duchów, zwłaszcza w jej stanie. Mogło się zdarzyć, że diabeł postanowił ją niepokoić” – twierdził salezjanin o. D’Souza.

Aborcja ponad wszystko

Ale rzecz jasna konikiem Tereski była... tak, tak, jak zwykle aborcja. Aborcja po pierwsze. Aborcja po drugie. Aborcja po trzecie. Obecnie w Indiach żyje 1 mld 428,6 mln ludzi i oto według wszelkiego prawdopodobieństwa populacja Hindułów przekroczyła liczebnie populację Chińczyków. Ale w filmie „Matka Teresa i ja” (rok produkcji 2022) oczywiście powraca problem aborcji! „Dokonując aborcji, matka nie uczy się kochać, ale zabija nawet własne dziecko, aby rozwiązać swoje problemy. Aborcja sugeruje ojcu, że nie musi ponosić żadnej odpowiedzialności za dziecko, które sprowadził na świat. Ojciec ten prawdopodobnie wpędzi inne kobiety w takie same kłopoty. Tak więc jedna aborcja prowadzi do kolejnych. Każdy kraj, który akceptuje aborcję, nie uczy swoich mieszkańców miłości, ale używania przemocy, aby dostać to, czego chcą. Dlatego właśnie aborcja jest największym burzycielem miłości i pokoju” – wygłosiła Matka Teresa w 1994 r. podczas tzw. Narodowe-

go Śniadania Modlitewnego w Waszyngtonie. Przed nosem Billa „Cygaro” Clintona.

W teorii i w praktyce

W sumie to jajcara z niej była. „Nie zapomnijmy, że ci, którzy potrafią wpływać na swój publiczny wizerunek, w istocie decydują o treści mitów na własny temat. Ludzie myślą o nich to, co oni sami o sobie myślą. W dzisiejszym świecie słowa i czyny osądzają się na podstawie reputacji osoby, której słowa i czyny oceniamy, a nie odwrotnie” – napisał w swoim esej „Misjonarska miłość. Matka Teresa w teorii i w praktyce” Christopher Hitchens. I jeszcze: „Jesteśmy zbyt wyrafinowani intelektualnie, by wierzyć w Boga, kreacjonizm i inne rzeczy tego rodzaju – powiadają lepiej wykształceni obrońcy kultu Matki Teresy. Jednak wierzymy w religię – przynajmniej dla innych. Religia to najprostszy sposób sprzedaży nadziei i najtańszy sposób upowszechnienia zasad moralnych. To również forma dyscypliny. [...] Filozofia i wiedza przeznaczone są tylko dla wybrańców, masom pozostaje religia i sentymentalne wzruszenia”. To co? Marsz do kina?

KATARZYNA JABŁOŃSKA-CZYŻ

ETYKA BEZBOŻNA

Rozważanie nad Obrzezaniem Pańskim

Niedawno, bo w pierwszym dniu nowego roku, czyli w Nowy Rok, świat chrześcijański obchodził święto Obrzezania Pana Jezusa upamiętniające uroczystość, poprzez którą włączano każdego nowo narodzonego żydowskiego chłopca do wspólnoty. Na pełnię praw musiał poczekać, aż dośrobie. Obrzęd przejścia do dorosłości to bar micwa, jednakże za czasów Jezusa jeszcze nie był przyjęty. Tym bardziej więc obrzezanie było istotne. Pozostałością po tym dość krwawym akcie jest odcięty kawałek skórki, zwany napletkiem. W przypadku Jezusa to arcyświęta relikwia, jakkolwiek nieco wstydliva. W końcu fajfus to fajfus. Niemniej jednak co boskie, to boskie. Kilkanaście bodajże sanktuariów przypisuje sobie posiadanie owej jedynej części ciała Pana Jezusa, która nie wstąpiła do nieba. Jezus cały wraz z ciałem jest w niebie i zasiada (cieleśnie) po prawicy bezcielesnego Ojca, lecz gdzieś tam na dole, czyli u nas, pozostała po nim maleńka wyschnięta skórka. Pamięć o niej jest nieco schowana w czeluściach ortodoksyjnych wtajemniczeń, lecz nie wygasa nigdy. Najgorliwsi wiedzą, że

to jedyne „ciało Chrystusa”, które nie wymaga cudu przeistoczenia...

Jezuska nikt nie pytał, czy chce być obrzezany. Nie było ten tego. Każde dziecko płci męskiej poddawane było tej torturze na oczach zadowolonych rodziców. Na makabrycznych średniowiecznych obrazach Obrzezania Pańskiego Matka Boża patrzy śmiało i nabożnie w to zetknięcie żelaza z siusiakiem Dzieciątka. Biedactwo!

Obrzezanie to dziwny obrzęd, jakkolwiek nad wyraz rozpowszechniony. W Europie kojarzy się głównie z Żydami, choć te siedem czy osiem milionów obrzezanych Żydów nie stanowi zapewne nawet jednego procenta wszystkich obrzezanych mężczyzn. Jednak chyba tylko u Żydów obrzezanie jest tak uroczyste i tak bardzo związane z wyznaniem. Dlatego głównie do Żydów kieruje się pytanie o moralną dopuszczalność okaleczania dziecka w imię dochowania nakazu religii.

Mamy tu do czynienia z problemem granic wolności religijnej. W starożytności żadnej wolności nie było, a już zwłaszcza religijnej. Nikt też nie narzekał, że bez jego wiedzy i zgody go ob-

rzezano czy ochrzczono. Dziś jest jednakże inaczej. Można narzekać i mieć pretensje, bo ludzie, którzy wykorzystują swoją władzę nad bezbronnymi niemowlętami, poddają je magicznym obrędom, doskonale wiedzą, że w przyszłości z tych dzieci wyrosną ludzie, którzy mogą być wdzięczni za to, że tak z nimi postąpiono, albo wręcz przeciwnie – mogą z tego powodu cierpieć. Pal sześć chrzest, bo ten przynajmniej nie pozostawia śladów fizycznych. Jednak obrzezanie nie da się ukryć ani odwrócić jego skutków. Czy to w porządku, że nie czeka się, aż młody człowiek wypowie się w sprawie bądź co bądź swojego własnego ptaszka? To chyba uzasadniona wątpliwość i w wielu krajach, zwłaszcza skandynewskich, podejmowane były próby ustawowego zakazywania obrzezania z powodów religijnych. Żadna jednakże nie zakończyła się powodzeniem. Żydom, z pomocą muzułmanów, zawsze udawało się zapobiec zaka-

zawowi. Dlaczego rodzice w krajach, w których wszelka przemoc fizyczna – zwłaszcza wobec dziecka – jest zakazana, mają prawo poddawać własnych synów brutalnemu obrzędowi tylko

dlatego, że tak nakazują ich wiara i tradycja? Czy tradycja religijna naprawdę jest ważniejsza od prawa dziecka do zachowania integralności fizycznej oraz niepodlegania wywołującej silny ból fizyczny przemocy? Mam co do tego poważne wątpliwości.

Wyobraźmy sobie wierzących Żydów głęboko przekonanych, że odłożenie obrzezania ich synów do



Ułan z dziewczicą przy szambie

„NIE” rozmawia z Olgą Lipińską

– Generalną cechą kabaretu politycznego jest to, że ma swoją datę ważności, przeważnie dość krótką. „Kabaret Olgi Lipińskiej”, niewątpliwie polityczny, pozostaje aktualny po 15 czy 30 latach, nadal śmieszny i przestrasza tak samo. Jak to możliwe?

– Tak jest, bo „Kabaret” pokazywał ludzi: ich zderzenie z rzeczywistością, która się zmienia dość szybko, i mentalność, która zmienia się bardzo powoli i z trudem. Sytuacja polityczna Polski w moim pokoleniu przekreślała się już parę razy, a my Polacy dalej tkwimy w swoich zapiekłych kłótniach, żalach. Wypominamy je sobie od pół wieku: komuch, solidaruch, pisowiec, kościółkowy padalec, zdrajca, kolaborant... Te „zalety” prawdziwych Polaków, które pokazywałam w kabarecie, plus skłonność do egzaltacji i banału, nie przechodzą nawet ze zmianą ustroju.

– „Pejzaż po bitwie: na tle sztandarów ułan z dziewczicą przy szambie” – to bodaj najtrafniejsza karykatura polskości, jaką zdarzyło mi się znaleźć w polskiej literaturze.

– Lubię tę piosenkę, bo nic mnie tak nie złości jak fałszywe uniesienia. „Polska głupota”, bo taki tytuł ma ta piosenka, mówi o naszym nabzdyczeniu, megalomanii i infantyilizmie – cechach, których nie znoszę, bo prowadzą do częstego obrażania się na rzeczywistość.

– Nabzdyczenie z dziecinnością pięknie harmonizuje.

– To niestety prawda, obrażają się dzieci i głupi ludzie. Michał Błazejewski, profesor filologii z Gdańska, z którym wspólnie pracowałam nad piosenkami w kabarecie, mawiał, że my Polacy mamy ciągłą pretensję do Ojczyzny.

– No mamy. Tylko o co?

– Myślę, że Polska została tak wyidealizowana przez apologetów i fałszywych patriotów, że powinna zostać mitem i nigdy się nie urzeczywistnić. Szkoda, że w obrazie Polski przeważają tony apologetyczne, a kry-

tycznych zawsze było mało. Choć też się pojawiają. „Czasem o byle cień człowiek ma żal do człowieka, a życie jak osioł ucieka” – śpiewaliśmy w „Kabarecie” wierszem Gałczyńskiego. Rzeczywiście z powodu kłótni i wzajemnego robieńia sobie na złość uciekło nam z życia dużo. Świat gonił do przodu, a my siebie po łbach.

– Moskal przecież stał we wsi, trzeba było iść przez zboże...

– „Już nie musimy iść przez zboże, we wsi Moskal już nie stoi, polskie pięści, polskie noże, polskie piekło, sami swoi” – to także piosenka z „Kabaretu”. Zawsze było zagrożenie, ale zawsze wychodziliśmy zwycięsko:

czasu uzyskania przez nich pełnoletniości stanowi obrazę boską i może skutkować karami, jakie zesła na nich i na ich dzieci Jahwe. Zapewne tacy Żydzi są na świecie. Czy mają prawo tak uważać i wedle tego postępować? Gdyby istniał ów Jahwe i ci ortodoksi mieli w sprawie jego złośliwej zabobonności i zawziętości rację, trzeba by wraz z tym uznać ich prawo do obrzezania dzieci. Jednakże zapewne Jahwe nie istnieje, a nawet gdyby istniał, to nie byłby taki małostkowy, żeby karać ludzi za ociąganie się z obrzezaniem. Ta druga ewentualność brana jest pod uwagę przez postępowych i reformowanych rabinów. Tendencja w rozwoju judaizmu (a także innych religii) jest bowiem, ogólnie rzecz biorąc, liberalna. W coraz mniejszym stopniu religie przedstawiają sobie swoje Najwyższe Istoty, takie jak Bóg, Jahwe czy Allah, na podobieństwo groźnych, kapryśnych i mściwych władców, a za to coraz częściej upodobiłają się one do miłych, rozsądnych i wyrozumiałych mieszczan, jakich znamy i lubimy.

Niestety, dyskusja nad prawem Żydów od poddawania obrzezaniu niemowląt płci męskiej w ogóle nie bierze, bo nie może brać, pod uwagę tego, czy mają oni rację od strony religijnej, a więc tego, co by się stało, gdyby obrzezania – przez szacunek dla nie-

tykalności oraz autonomii jednostki – jednak poniechać. Wprawdzie doskonale wiemy, że nic by się nie stało, ale w świeckiej przestrzeni publicznej nie da się walczyć za pomocą religijnych argumentów. Nie można powiedzieć: nic by się nie stało, Jahwe się nie pogniewa! Nie tylko nie można tak powiedzieć, ale nikt tak powiedzieć nie ma chęci, bo przecież nikt nie traktuje wierzeń poważnie i nawet nie bierze pod uwagę tego, że być może naprawdę jest jakiś Jahwe, któremu nie jest wszystko jedno, czy jego wyznawcy obcinają napletki swoim synkom. To przecież czysta niedorzeczność! I właśnie dlatego, że od niedorzeczności wszyscy trzymają się z daleka, nowoczesne liberalne społeczeństwo pozwala okaleczać dzieci. Nie mogą wejść w racjonalny spór z ortodoksami, nie mogą im powiedzieć, że się mylą, wybiera bezczynność. Bezczynność usprawiedliwianą wolnością religijną. To się nazywa hipokryzja i rąk umywanie. W rzeczy samej, państwa po prostu boją się burd i zamieszek, które niechybnie wstrząsnęłyby krajem, w którym karano by za obrzezanie dzieci. Może to i nie takie głupie. W końcu policja naparządzająca się z Żydami i Arabami w obronie niemowlęcych napletków byłaby trochę śmieszna.

JAN HARTMAN

„Zwyciężyli, co tylko się dało, a szczególnie możliwość rozwoju”... Właściwie wszystko już powiedziałam w „Kabarecie”...

– I jak już mówimy „Kabaretem” to jeszcze: „Płynię Wisła, płynię, dudni woda, dudni, chłopcy malowani, a pod spodem brudni”.

– Tak śpiewał pan Turecki, ale piosenka pochodzi ze Studenckiego Teatru Satyryków, z którym byłam związana w czasie studiów. STS i ludzie, którzy go tworzyli, to środowisko, które mnie ukształtowało i uwrażliwiło na sprawy społeczne i polityczne.

– No i nie zapominajmy o moim ulubionym akcie strzelistym europejskości: „Czuj duch, Europo, idziemy do ciebie, my fantastyczni Polacy”...

– „W końcu, bądźmy szczerzy: nam się to należy, myśmy są ozdoba świata” – to piosenka Agnieszki Osieckiej, napisana dla mojego kabaretu.

– Jak to jest, że wszystkie najtrafniejsze cytaty o Polsce, które przychodzą mi do głowy, pochodzą właśnie z pani kabaretów?

– Bardzo miło, że pani tak mówi, ale na pewno nie mogę sobie przypisywać całej zasługi. Wielka polska literatura jest pełna trzeźwego i krytycznego spojrzenia na Polskę. Proszę sobie przypomnieć scenę z Maskami z „Wyzwolenia” Wyspiańskiego: „A co jest mi wstrętne i nieznosne, to jest to robenie Polski na każdym kroku i codziennie. To manifestowanie polskości”. Albo Słowacki: „Pawiem narodów byłaś i papuga”. A jak przenikliwe i trzeźwe spojrzenie na Polaków miał Fredro!

– No właśnie, wiem, że pani kocha Fredrę, ale ja go jakoś nie ogarniam. Zawsze wydawał mi się płytki i jakiś taki dowcipaśny.

– Ależ skąd! To wina szkoły, która wbija uczniom do głowy Fredrę jako autora głupawych komedijek. A tymczasem on był naprawdę błyskotliwym i bezwzględny obserwator rzeczywistości. Proszę jeszcze raz przeczytać „Zemstę”. Przecież główni bohaterowie o mało się nie pozabijali o dziurę w murze. „Ja z nim w zgo-

dzie! Mocium panie, wprzód słońce w miejscu stanie, wprzód w morzu wyschnie woda, nim tu u nas będzie zgoda” – mówi Cześnik. Z powodu dziury w murze! Problem z Fredrą polega na tym, że Polacy mają wdrukowane w głowę, że jak coś jest śmieszne, to nie jest wiele warte. Zdarzało mi się czasem podsłuchiwać widzów wychodzących z moich spektakli w Teatrze Komedia i często słyszałam komentarze: „Było śmieszne i bardzo dobre, ale mało poważne”. To takie mieszczańskie nabzdyczenie. „Bądźmy poważni” – strofują się Polacy nawzajem. Bardzo poważni są „straszni mieszczańanie”...

– Polska Ludowa to mieszczaństwo trochę przetrzepała.

– I za to mam sentyment do PRL. Za parę innych rzeczy także. Po 1989 roku nierzadko obrywało mi się za to od kolegów i dziennikarzy, których do dziś pamiętam, jak dzielnie gromili Polskę Ludową po jej zgonie. A najdzielniejsi, którzy w PRL siedzieli na kolanach władzy. A ja się pani przyznam, że dobrze wspominam PRL, chociaż i tamci dygnitarze irytowali mnie zbytnią uległością w stosunku do Kościoła. Przecież w PRL była cenzura kościelna.

– Kościelna?

– Tak. Dwa razy zdjęto mi przedstawienia po interwencji Kościoła. Musiałam zmieniać tekst, a nawet dekoracje, bo Kościół miał zastrzeżenia. Choć oczywiście nie ma żadnego porównania z tym, co działo się po 1989 roku.

– No właśnie: Kościół. Kilkanaście lat temu napisałam tekst o pani kabarecie z lat 90. Z tezą, że takie jedno wielkie bluźnierstwo nijak nie mogłoby się już ukazać w publicznej telewizji. A było to długo przed PiS-em i Kurskim, w szczycie rządów Platformy.

– Z Kościołem zawsze byłam na baki. Od podstawówki. Na lekcji religii ksiądz mnie bez przerwy wyrzucał za drzwi.

– Gratuluję. A za co?

– Zapytałam go, jak anieli mogli zanieść Matkę Boską do nieba, skoro istnieje przyciąganie ziemskie...

– I co powiedział?

– „Wydź za drzwi”. Jakoś nie brałam ochoty na dalszą edukację religijną. Do księdza, który odwiedził mnie po kolędzie, mówiłam „proszę pana”. Zirykował się, że mówię do niego „pan”, „jak jaka Żydówka”. Odpowiedziałam: „A może ja jestem Żydówką?”. „Nie” – powiedział rozłoszczony – „pani jest ochrzczona, my wszystko mamy w papierach”. Jak w UB – skojarzyło mi się nieprzyjemnie. A potem wygłosił mi karcący monolog: „Bo pani ten głupi, rozpiciaczony naród jeszcze demoralizuje swoimi kabaretami”... Chodziło o piosenkę „Urzednicy Pana B”. Powiedziałam mu, że mam o narodzie akurat inne zdanie. Obrażony wyszedł.

– To się pani przyznam, że była w pani kabarecie piosenka, która mnie szczerze oburzyła, właśnie ze względu na to, że załatwiała od niej pogardą do narodu, wizją społeczeństwa jako roszczeniowego lumpenproletariatu: „Pan Balcerowicz wyciął nam numer”. Miałam ją wtedy pani bardzo za złe.

– Teraz bym chyba nie dała tej piosenki. Zmieniła się sytuacja. Wtedy pokazałam ludzi, których pan Balcerowicz rzeczywiście załatwił. Wierzyłam w to, że różnicowanie dochodów ma sens: że jeżeli człowiek ma mózg i go używa, to rzeczywiście mu się więcej należy. W wolnej Polsce bardzo drażniła mnie *urawniłowka* i hasło „czy się stoi, czy się leży...”.

– Bo to był czas, kiedy jeszcze można było wierzyć w jakąś merytokrację w kapitalizmie. Teraz już wiemy, że zasługi nie mają żadnego związku z dochodami: pieniądze chodzą do łóżka z pieniędzmi i robią następne pieniądze.

– Ale ja ciągle wierzę w mózg. Może panią zaskoczę, ale wolę człowieka z mózgiem niż bez mózgu. Nie znoszę beznamiętności i banału, który za nią idzie, bezrefleksyjnego powtarzania truizmów. I to się zaczyna od języka. Jak słyszę np. „Zakopane – zimowa stolica Polski”...

– ...do której zmierzają „amatorzy białego szaleństwa”...

– ...wyruszający z „podawawskiego grodu”. Dokładnie: banał doprowadza mnie do białej gorączki. Złościłam się, kiedy aktorzy używali ciągle tych samych gestów i min. Mówiłam: to jest banał, to już widziałam i słyszałam sto razy. Nie warto robić rzeczy już zrobionych, już widzianych i obliżanych. Ani w teatrze, ani w polityce. Takich polityków, którzy z namaszczeniem wygłaszają prawdy oczywiste, nazywam „rewelatorami truizmów”. Straszna mnogość ich dzisiaj po wszystkich stronach sceny politycznej.

– Może publiśia tego właśnie pragnie?

– Nie zawsze warto dawać publiśi to, czego pragnie. Jak mówi mój ulubiony muzyk Ryszard Poznakowski, sztuką trzeba robić tak, żeby gościa wcisnęło w fotel. To nie zawsze jest dla niego komfortowe – ale jeśli zobaczy coś, co jest dobrze pokazane i uderza w samo sedno, jest szansa, że się zastanowi: „Cholera, rzeczywiście, coś w tym jest”. Kiedyś zapytałam Jurka Urbana, czy wasz tygodnik musi używać tyłu wulgaryzmów. Jurek mi powiedział: „Tak, bo ja chcę, żeby ten, kto używa takiego języka na co dzień, też mnie przeczytał. Nie walczę nawet o to, żeby mnie zrozumiał – wystarczy, że przeczyta”. Ja też nie walczyłam o to, żeby publiśia się ze mną we wszystkim zgadzała. Wystarczyło, że wcisnęło ją w fotel.

Rozmawiała

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Korespondencja z cyrku

Największa atrakcja telewizji i internetu skutecznie konkuruje z Zenkiem Martyniukiem, a nawet z Igą Świątek. A wiecie, jak wygląda zza kulis?

W biurze przepustek, jak na pocztce, czynne jest z zasady tylko część okienek, a gdy w sejmie dzieje się coś ważnego, w kolejce stoi kilkadziesiąt osób. Po otrzymaniu wejściówki nie można udać się wprost na teren sejmu; trzeba wyjść na chodnik, ustawić się w kolejce i cierpliwie czekać, aż strażnik sprawdzi wydane przez swego kolegę kilka minut wcześniej zezwolenie. Następnie przy wejściu do któregośkolwiek z sejmowych budynków należy znów okazać przepustkę i dokument tożsamości kolejnemu strażnikowi i dopiero wówczas oczom obywatela ukazuje się świątynia demokracji.

Jesteś w ukrytej kamerze

Budynek sejmu został tak zaprojektowany, że korytarze prowadzące do rozmaitych biur partyjnych zbiegają się przy reprezentacyjnych schodach i wejściu na galerię. W tym miejscu przy stolikach koczują dziennikarze, a tzw. medialni posłowie z każdej partii niby mimochodem przemierzają korytarze z nadzieją, że jakiś dziennikarz podetknie im pod nos mikrofon. Poza klubowymi rzecznikami w tym gronie często znajdują się m.in. Radosław Fogiel (PiS), duet śledczy złożony z Michała Szczerby i Dariusza Jońskiego (KO) i uwodzący dziennikarzy swymi przygarbionymi plecami Ryszard Terlecki. Do historii przeszedł wielokadencyjny senator Jan Maria Jackowski (niegdyś PiS, pod koniec niezależny), który niemal zawsze wyczekiwał na dziennikarzy pod jednym z filarów, gotów do udzielenia wywiadu. W ważnych chwilach korytarzami lubią przechadzać się także partyjni liderzy: Tusk, Hołownia, a nawet Kaczyński. Generuje to utrudnienia komunikacyjne, które niecierpliwą w szczególności telewizyjnych kamerzystów. Mają oni bowiem do wykonania niezwykle ważne zadanie. Każda telewizja wysyła na sejmową galerię pięciu pracowników, zaopatrzonych w statywy, kamery i zapasowe baterie. Operatorzy kamer przed wejściem polityków na salę obrad ustawiają się na stanowiskach. Pierwsza kamera musi sfilmować wejście Kaczyńskiego, a następnie zawisnąć na jego miejscu w sali plenarnej. Druga filmuje każdy ruch Tuska, trzecia – łóż rządową (zwaną tramwajem), czwarta – marszałka sejmu, a piąta – trybunę sejmową. Przez cały dzień operatorzy przysypiają na galerii, a urzędnienia skrupulatnie odnotowują każde mrugnięcie partyjnych liderów. Ostatecznie 99 proc. materiału trafia do kosza. Zostają wyłącznie ujęcia potykającego się Kaczyńskiego, dłubiącego w nosie Tuska i żartującego Hołowni. Praca pozornie bez sensu. Jesliby jednak Kaczyński potknął się na schodach, wchodząc na salę plenarną, a reporter TVN nie zdołałby tego sfilmować, „Fakty” musiałyby skorzystać z (identycznej) taśmy Polsatu. Dla poważnej telewizji to hańba.

Papieros z ławrowem

Przed rozpoczęciem obrad parlamentarzysty do stają z biur partyjnych rzeczników tzw. przekazy dnia. Na ich podstawie układają przemówienia, a ci leniwi, zapoznawszy się z przekazem, improvizują na trybunie. Wypowiedzi poselskie zazwyczaj w trybie wniosku formalnego (mającego tę zaletę, że można go złożyć niemal w każdej chwili, a dotyczyć może niemal wszystkiego) trwają 60 sekund, więc ich ułożenie zajmuje chwilę. Najpierw tradycyjna formułka: „Szanowny Panie Marszałku, Wysoka Izbo (oraz w zależności od upodobań: Panie Premierze, Drodzy Rodacy itd.)”. Następnie przypomnienie znanych wszystkim epizodów z politycznej przeszłości przeciwnika: „Panie Tusk, przechadzał się pan po molo w Sopocie ze zbrodniarzem Putinem, a powołany przez pana minister Sikorski palił papierosa z Siergiejem Ławrowem” albo „Panie ministrze Kosiniak-Kamysz, już dziesięć lat temu podniósł pan wiek emerytalny Polaków i ukradł ich oszczędności z OFE. Wiemy, że chce pan to zrobić ponownie” lub „Panie Kaczyński, za waszych rządów inflacja była najwyższa od 25 lat, gdyby nie zwycięstwo koalicji 15 paź-

dziernika, dziś złotówka nie miałaby żadnej wartości”. Kolejnym punktem jest pochwalenie swoich: „Nasz premier nigdy nie spotykał się z Putinem na molo i nie mówił »Für Deutschland«, bo suwerenność Rzeczypospolitej jest dla niego najwyższym zobowiązaniem” albo „Za naszych rządów inflacja spadała, a za waszych rosła. Na szczęście po ośmiu latach Polska znów ma odpowiedzialny rząd”. Wypowiedzi zagłuszane są okłaskami i okrzykami, zatem przemawiający robi długie pauzy. Minuta minęła, więc marszałek zaczyna upominać posła, żeby kończył, a ten rytualnie wyklóca się, aby marszałek dał mu więcej czasu, gdyż polityczni przeciwnicy zagłuszali jego wypowiedź (trwa to zasadniczo około 15 sekund, ale w skrajnych przypadkach nawet kilka minut). Na koniec poseł musi jakoś uzasadnić swą bytność na trybunie, a więc złożyć jakiś wniosek. Na ogół jest to wniosek o przerwę „aby pan Tusk przemysłał swoją wizytę na molo”, „aby pan Kosiniak ochłoniął, nim znów zacznie grabić emerytury Polaków”, „aby pan Kaczyński wyszedł do ludzi i zobaczył, że go nie lubią”. Zgromadzeni na sali odrzucają taki wniosek, a zadowolony z siebie poseł wraca na miejsce.

Kibel i stołówka

Kiedy debata zaczyna się dłużyć, posłowie rozchodzą się po budynku. Dla siedzących na galerii reporterów to moment, w którym w końcu mogą się wykażać. Zaczyna się gonitwa za politykami, by nagrać tzw. setkę. Ostatnio, po rewolucyjnych zmianach wprowadzonych przez nowego marszałka, do upolowania bywa sam prezes PiS. Zwykle dziennikarze tworzą wokół niego kordon blokujący, szczerze wypełniając przestrzeń korytarza. Chór błyskotliwych pytań zlewa się w jednolity bazarowy zgłęk. Przebijają się tylko piskliwy i przerażony głos partyjnych poddanych otaczających prezesa, zatroskanych faktem, że ich guru może za chwilę zostać zdeptyany.

Niektórzy pracownicy mediów są bardziej oryginalni. Jeden z reporterów „Wiadomości” – zanim po przejściu TVP ppłk Sienkiewicz wyrzucił go z pracy – uporczywie nagrywał polityków PO pod męską ubikacją przy korytarzu marszałkowskim. W jednym z ostatnich wydań „Wiadomości” ukazał się nawet jego materiał w całosci poświęcony chodzeniu obok owej toalety za ministrem Sikorskim.

Posłowie nieupolowani udają się do sejmowej restauracji lub stołówki. Restauracja znajduje się w hotelu znanym jako Nowy Dom Poselski. Serwowane tam są dania na poziomie przeciętnej restauracji na białych obrusach z obsługą kelnerską. Dziennikarze nie mają tam wstępu, gdyż obok knajpy znajduje się słynny bar Za Kratą – jedyny bar w Polsce, w którym nie obowiązuje zakaz palenia. Nawiasem mówiąc, w centrum polskiego prawodawstwa jest zaskakująco wiele miejsc, gdzie prawo nie obowiązuje. Za Kratą jest np. bufecik senacki, gdzie przez kilkadziesiąt lat bufetowe nie wydawały paragonów.

Z kolei cały sejm jest jedynym miejscem pracy, w którym zdaje się nie obowiązywać ustawa o wychowaniu w trzeźwości.

Sejmowe pijaństwo nie jest zresztą jedynie domem posłów. W kuluarach krąży legenda o asystentach posłów PiS-u, którzy kilka lat temu urządzili Za Kratą karczemną awanturę. Odtąd wejść tam mogą już niemal wyłącznie posłowie.

Palenie i myślenie

Wybrańcy narodu, którzy nie boją się dziennikarzy, kierują się do ogólnodostępnej stołówki. Znajduje się ona w Starym Domu Poselskim połączonym z gmachem głównym podziemnym przejściem. Korytarz jest przedzielony bramką. Dojść do niej z obydwu stron mogą wszyscy mający przepustkę, lecz przejść przez nią – tylko nieliczni posiadacze karty magnetycznej (głównie posłowie i pracownicy sejmu). Nikt nie zna odpowiedzi, czemu ta bramka służy, a niedysponujący kartą

muszą wyczekiwać, aż ktoś ich łaskawie przepuści. W sejmowej stołówce, wbrew doniesieniom tabloidów, zarówno standard, jak i ceny są zbliżone do warszawskich barów mlecznych. Zupa i drugie danie kosztują 20 zł.

Po posiłku warto wybrać się na papierosa. Palarnia, przez bywalców zwana krematorium, znajduje się na parterze. Posłów jest niewielu, dominują znudzone sprzątaczk i straż marszałkowska. W całym budynku nie ma kiosku zaopatrzonego w zapalki, więc najważniejsza w palarni jest rozdzielnica elektryczna z ukrytą zapalniczką dla zapominalskich.

Posłowie na salę plenarną wracają podczas wieczornych głosowań. Przedtem wyznaczeni przez liderów rozdają instrukcję, jak należy głosować zgodnie z partyjną dyscypliną. Od posłów nie wymaga się bowiem myślenia.

HUBERT CEZARY WYSOCKI
MAREK SANOWSKI



Ilustracja: KRZYSZTOF OLEJNIK

WIEŚCI GMINNE I INNE

■ Smutne wieści napłynęły z wrocławskiego zoo, o którym niekiedy piszemy na okoliczność narodzin zwierząt (ostatnio był to manat). Okazało się jednak, że jest to tylko pół prawdy. Zwierzęta również zdychają, o czym władze ogrodu już nie informowały. W listopadzie odeszły dwie pandy i jeden manat (ale nie ten, co się urodził). Okoliczności zgonów określane są jako tajemnicze. Z poselską kontrolą udała się do wrocławskiego zoo posłanka Jolanta Niezgodka, aby poznać szczegóły tych zatajanych tragedii.

■ Kierujący zabytkowym wozem strażackim marki Star zderzył się z drzewem w miejscowości Skurpie (woj. warmińsko-mazurskie). Chłopaki z miejscowej ochotniczej straży pożarnej pili wódkę, kiedy wybuchł pożar. O konieczności walki z żywiołem powiadomiono ich SMS-em. Nie jest więc dziwne, że za sterami ciężarówki usiadł pijany, no bo trzeźwych nie było. Do gaszenia ze wspomnianej przyczyny ochotnicy nie dojechali. Przybyła na pomoc zawodowa policja była trzeźwa. Z prawdziwym

zadowoleniem ujawniła pijaństwo ochotniczych strażaków. Przepaści między zawodowcami a amatorami niepodobna zasypać.

■ Narodowy Bank Polski podał, że w minionym roku liczba osób preferujących płatności elektroniczne wzrosła o 28 proc. w porównaniu z rokiem poprzednim. Polacy mają do dyspozycji 21 310 bankomatów. W ostatniej pięciolatce ubyto 2441 sztuk tych pożytecznych urządzeń. Gdybyście wiedzieli, jak tak naprawdę działa ten system rozliczeń, wszyscy wróciłibyście do papierowej gotówki. Zwłaszcza ci mający jej nadmiar.

■ Ochroniarz marketu Biedronka przy ul. Piecowskiej w gdańskiej dzielnicy Morena zamknął w przysklepowym śmietniku 79-letnią kobietę, która szukała żywności w pojemnikach na odpady. Nie chciał jej wypuścić. Dyrekcja sklepów wyjaśniła, że ochroniarz działał niejako w dobre pojętym interesie klientki, ponieważ: „Produkty w pojemnikach B10 mogą szkodzić zdrowiu ze względu na procesy organiczne w nich zachodzące i nie nadają się do spożycia”. Chociaż przyznano, że podjęte w celu ochrony zdrowia klientki środki ostrożności były nieco na wyrost.

■ 41-letni mieszkaniak Ostródy napadł na stację paliw uzbrojony w pistolet. Oddał kilka strzałów w kierunku lady. Groził śmiercią pracownikom. Zażądał gotówki, której nie dostał, więc starał się włamać do sejfów kasowego. Też mu się nie udało. W końcu uprowadził białego pluszowego misia sporych rozmiarów, czym tylko sobie zaszkodził. Dość łatwo było policji namierzyć w mieście człowieka

Gej, syfilityk i ja

Trzej Polacy na Maderze.

Byłem na Maderze. Przede mną było tam przynajmniej dwóch innych też znanych Polaków. Pierwszy to człowiek legenda. W Polsce znany jako król Władysław III Warneńczyk, tam – jako Henrique Alemão, czyli Henryk Niemiec, albo Príncipe Polaco – książę Polak. Informuję od razu, że utożsamianie Polaka z Niemcem, a Niemca z Polakiem nie jest tam obraźliwe. Wszyscy są z drugiego końca Europy. Gorzej mają Anglicy, kiedy dowiadują się, że fikuśna odmiana pomidorów zwana jest angielską. Bo kiedyś wszystko, co było tam inne, obce, dostawało miano „angielskie”.

Jak uczą w polskich szkołach, król Władysław w październiku 1443 r. rozpoczął zbrojną wyprawę przeciwko Turcji. Wspierany przez wojska węgierskie, włoskie i serbskie dotarł do Bułgarii. Zajął i spalił Sofię, potem buszował po Bałkanach, gdzie odniósł kilka zwycięstw. Efektem był podpisany w czerwcu 1444 r. w węgierskim Szegedzie 10-letni rozejm. Turcy zobowiązali się do opuszczenia Serbii oraz wydania Węgrom i Serbom 24 zamków naddunajskich. Korona polska zyskała kolejne wielkie moralne zwycięstwo.

Pomimo tak korzystnych warunków król Władysław zerwał świeżo zaprzysiężony rozejm. Uczynił tak podpuszczony przez papieskiego legata Juliana Cesariniego, który obiecał mu wsparcie floty burgundzkiej i weneckiej oraz mołojęcką sławę. Zerwał pokój, choć jego zawarcie przypieczętował przysięgą na Eucharystię. Ale co tam Eucharystia, skoro papież obiecał mu zbawienie jak prezydent Duda ułaskawienie. Zachęcony tym król Władysław ruszył do walki. Po drodze wojsko mu topniało, papieska pomoc nie dotarła i 10 listopada pod Warną wystawił się na totalną, niepotrzebną klęskę. I jeszcze śmierć poniósł.

Ale skoro nigdy nie odnaleziono jego ciała, to szerzyły się opowieści o cudownym ocaleniu. Według jednej miał osiąść na portugalskiej Maderze, ożenić ze szlachcianką Eanes João dos Reis Gomes i spłodzić z nią syna, znanego potem jako Krzysztof Kolumb. Miło to brzmi dla polskiego ucha. Ale naprawdę król Władysław był gejem. Żył w związku ze swym sekretarzem Janem synem Seńki. Jan Długosz donosił, że przyczyną klęski pod Warną był król i jego „obrzydlawy nałóg”. Bo „w czasie najgorętszej bitwy, lekceważąc grożące sobie i całemu wojsku niebezpieczeństwo, nie porzucał swych wstrętnych rozkoszy”. Noc przed bitwą spędził ze swoim paziem, choć marszałek Kutuzow przestrzegał, że przed bitwą trzeba się wyspać.

Zmora listonoszy

Drugi znany tam Polak był na Maderze na pewno. Przybył w grudniu 1930 r. na leczenie, bo miał kłopoty z sercem i krążeniem. Kłopoty sercowe rzeczywiście miał. Towarzyszyła mu osobista lekarka, 30 lat młodsza Eulalia Lewicka. Ich romans trwał od 1925 r.

„Wódz w rewolucjach, wódz w wojnach, leader polityczny, który w poszukiwaniu słońca, brakującego mu w mrocznej i zimnej Polsce, przybył na Maderę” – napisał na jego powitanie „Diário de Notícias da Madeira”. W 1934 r. na jednej ze ścian willi Quinta Bettencourt, gdzie mieszkał, wmurowano pamiątkową tablicę. W Funchal (stolica Regionu Autonomicznego Madery – red.) znajduje się też pomnik – po piersie odpowiednie do jego politycznego formatu, a także rondo jego imienia.

Pamiętają go do dziś maderscy pocztowcy. Przed marcem 1931 r.

z okazji jego imienin ówczynie rządzący w Polsce BBWR (Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem Józefa Piłsudskiego – red.) wezwał naród polski do przesyłania mu pocztówek z życzeniami. I zorganizował ich masowe wysyłki. Lepkie od wazeliny pocztówki pisali wojskowi, urzędnicy państwowi, uczniowie. W sumie przyszło ich prawie milion. Wszystkie musieli mu dostarczyć maderscy listonosze. Nie mieli wtedy samochodów, toteż żylaki im wyskakiwały. Nie płacili im też od przesyłek, tylko niewielkie pensje. Dlatego Piłsudski szybko stał się najbardziej zniechodzoną Polakiem przez miejscowych pocztowców. Na szczęście adresat nie odpisywał na otrzymywane życzenia. Nie miał pewnie na znaczk.

Zdrowia na Maderze Piłsudski nie odzyskał. Zmarł cztery lata później. Oficjalnie na raka wątroby. Ale wezwany z Wiednia profesor Karel Wenckegach wystawił jednoznaczny diagnozę: kiła trzeciorzędowa.

Doktor Lewicka знаła zapewne stan zdrowia marszałka. W czerwcu 1931 r. po powrocie z Madery oficjalnie popełniła samobójstwo.

Przybądź, Rusku

Pół miliona euro trzeba wydać na Maderze, aby otrzymać tzw. złotą wizę, czyli prawo do mieszkania na wyspie. Jak kiedyś Piłsudski. Korzystają z niej bogaci Rosjanie, którzy też miewają kłopoty sercowe i inne. Te pół miliona muszą oficjalnie wydać na zakup domu lub apartamentu. Zrobiło takie zakupy już prawie 400 Ruskich. I są kolejni chętni, bo nadal mogą je na Maderze kupować, a w kontynentalnej Portugalii już nie. Tam obowiązują ich sankcje.

Lud maderski opowiada wiele historii o takich Ruskich. Najczęściej o starej pannie, która miała

dom wyceniany na 160 tys. euro. Ale przyszedł Ruski i dał bez targowania się pół miliona. Zaraz potem kobieta wyszła za mąż, bo stała się zamożna. Wiele Maderczyków marzy teraz o inwazji takich Ruskich.

Odwrotnością Ruskich są Wenezuelczycy. Też tam emigrują, ale domów od razu nie kupują. Wynajmują kąty do spania i starają się pracować. Kiedy w knajpie podadzą ci zupe po drugim daniu albo i po deserze, to rdzenni Maderczycy bezradnie rozkładają ręce i mruczą: „Sorry, to Wenezuelczycy. Oni tak pracują”. Jednocześnie Wenezuelczycy są okej, bo wszystko, co złe, spada na nich. Nikt nie ma pretensji do rdzennych Maderczyków. Zwłaszcza turyści z Europy, którzy nie odróżniają Wenezuelczyków od Maderczyków. Maderczycy polecają za to knajpki z żarciem wenezuelskim. Bo dobre tam jedzenie i tanie.

Warto w Polsce znaleźć lub sprowadzić jakichś Wenezuelczyków. Wtedy Polacy pozostaną zawsze szlachetnymi, pracowitymi, uczciwymi. A całe zło spadnie na tych Wenezuelczyków.

Tur zysk tyka

Poinformowano właśnie, że cała Portugalia zamknęła rok 2023 rekordowymi zyskami z turystyki. Obróty tego sektora wyniosły 25 mld euro, o 37 proc. więcej niż w rekordowym dotychczas 2019 r. Do Portugalii przyjechało ponad 30 mln turystów. Tradycyjnie najwięcej gości przybyło z Wielkiej Brytanii, Hiszpanii, Francji i Niemiec. Ale szczególnie dynamicznie rósł ruch ze Stanów Zjednoczonych. Do tego dochodzą liczni emeryci z Niemiec i Wielkiej Brytanii tam zimujący.

Stare chińskie przysłowie mówi: „Chcesz być bogaty, zbuduj drogę”. Maderczycy są bogaci, bo mają wygodną sieć dróg ekspresowych i ponad 150 tuneli o długości około 200 km.

Wielka, kreująca się na regionalne mocarstwo Polska po wielu latach debat, mszy, sporów zbudowała jeden tunelik łączący Swinoujście z kontynentem. Nieco dłuższy tunel na zakopiance nadal jest w budowie.

Wszystkie te drogi i tunele zostały na Maderze zbudowane dzięki wsparciu finansowemu Unii Europejskiej. To Unia wzbogaciła Maderczyków, współtworzyła im fundamenty turystyki i zysków z niej. Zatem niech Polska zostanie w Unii Europejskiej do czasu, aż zbudujemy u nas przynajmniej 100 km tuneli.

Biało-różowy raj

Wszystkie dachy na Maderze kryte są ceramiczną dachówką w kolorze ceglanym. Nie ma tam reklamozy, betonozy i górali wyłudających dutki. To przynosi kojący efekt turystom. Nie tylko polskim. Dodatkowo wszystkie domy są tam pomalowane na biało. Obowiązkowo. To sprawia, że jest architektonicznie ładnie, inaczej niż w polskich miastach turystycznych. Domy są tam zwykle niskie, a te wysokie położone są w dolinkach i nie wystają ponad te niskie, co sprawia, że wszędzie widać ładne widoki, a nie patodeveloperkę.

Są tam jednak domy pomalowane na różowo. Nie jest to propaganda LGBT, tylko sygnał, że budynki należy do władz państwowych albo samorządowych. Im ważniejsza jest mieszkająca tam władza, tym kolor różowy jest intensywniejszy. Sołtys ma lekki róż, a komendant policji róż wściekły.

Pensja minimalna, ale i powszechna na Maderze, to 750 euro. Oczywiście władza obiecała, że od nowego roku podniesie ją do 850 eurasów. To w przeliczeniu na złotówki trochę więcej niż 4 tys. zł. Zatem każdy Polak, który ma 4 tys. zł emerytury lub stałego dochodu, może zamieszkać tam i poczuć się jak Piłsudski.

Co ciekawe, ceny na Maderze są jak w Warszawie, a poza stołecznym Funchal – nawet niższe. Choć jest tam euro. Jest też dobra komunikacja miejska. Samochody, ale te mniejsze, motocykle i skutery. Rowery tylko górskie, bo Madera to góry oblane morzem. Dlatego łódkami też można. Taki klimat.

Ronaldo, krowy i poncha

Na Maderze są święci. Jezus, który często występuje pod postacią Dzieciątka we wszechobecnych szopkach bożonarodzeniowych. Konkuruje z nim urodzony na Maderze gwiazdor piłki kopanej Ronaldo, występujący zwykle ze swą ukochaną mamusią. Jak często też Jezus. Ale Ronaldo nie mieszka w żłobie, tylko w hotelu Savoy Palace.

Najliczniejszą świętą grupą są maderskie krowy pasące się w górach. Mają pierwszeństwo na drogach. Wszyscy kierowcy im ustępują, nawet Ronaldo.

Poncha to drink, który wymyślił przebywający tam emerytowany Winston Churchill. Jest ona wodem, a poza stołecznym Funchal – nawet innego uczynić dla ludzkości. Poncha to wymieszany sok z owoców. Zwykle pomarańczy, ananasa, limonki, marakuji. Do tego miód i rum z trzciny cukrowej. Im więcej rumu, tym poncha lepsza.

Trzciny cukrowej już nie uprawia się masowo na Maderze. Jej uprawa spina się ekonomicznie jedynie w systemie niewolniczym, jak kiedyś na Wyspach Książęcych lub na Kubie. Albo jako dodatek do masowo spożywanej przez turystów ponchy. Dzięki niej Madera jest coraz piękniejsza.

Jaka szkoda, że Piłsudski i inni polscy politycy nie wymyślili własnego drinka. Piszę, „bom smutny i sam pełen winy”.

PIOTR GADZINOWSKI

PS Na Maderze kilka razy rozdawałem spotkanym Polakom autografy. Bo rozpoznano mnie jako polskiego redaktora. Ale jako Rafała Bryndalę, bo nos mam do niego podobny. Podpisywałem wtedy „Piotr Bryndał”. Pisałem pół prawdy. Jak często zresztą.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

spacerującego z pluszową maskotką. Po aresztowaniu okazało się, że te groźby zabójstwa były nieco przesadzone. Spluwa była atrapą z tworzywa sztucznego, miotającą gumowe kulki sprężonym dwutlenkiem węgla.

■ 40-letni cudzoziemiec na jednym z parkingów przy ul. Kadetów w Gdańsku napadł na zaparkowane samochody. Za pomocą kija bejsbolowego kałeczył je okrutnie, wybijając szyby i lampy oraz odrywając lusterka. Dostało się 11 samochodom marki Toyota i Opel. Ujęty bojówkarz utrzymywał, że wybierał pojazdy niemieckie i japońskie, ponieważ wojna z państwami Osi jeszcze się nie zakończyła.



Fot. PAWEŁ FERENC

postawili bojownikowi 11 zarzutów. Nie zauważyli, że kij bejsbolowy, który był w ruchu, jest w Polsce bronią wymagającą pozwolenia. Za nielegalne posiadanie broni Ukraińiec nie dostał zarzutów.

■ Karnawał trwał także w miejscowości Zimna Wódka. Tam policjanci ze Strzelec Opolskich znaleźli zaparkowany w środku pola samochód, za którego kierownicą spał 23-latek. Śpiący nie mógł dalej jechać, bo auto zaryło się po osie w wilgotnym podłożu. Posiadane przez policję urządzenie do badania trzeźwości okazało się nieskuteczne. Jak relacjonowano, „zabrakło skali”. Dla celów formalno-procesowych przyjęto, że młody człowiek miał 4 promile we krwi. No bo gdyby miał więcej, musiałby nie żyć, a przecież spał.

■ Na warszawskiej Pradze przy ul. Markowskiej nadal można tankować paliwo na stacji benzynowej pod szyldem CPN (Centrali Produktów Naftowych) i w pomarańczowych barwach tej nieistniejącej już firmy. Łza się w oku kręci.

■ W Szpitalu Powiatowym w Nowym Targu lekarze walczą o życie 22-letniej turystki, którą przywieziono tu śmigłowcem TOPR-u z Zakopanego. Kobieta straciła panowanie nad skuterką śnieżną, który wje-

chał na muldę. Zamiast hamować dodała gazu. Rozpędzona maszyna przywaliła w drzewo, a drzewo w głowę prowadzącej, na której, jak ustaliła policja, nie było kasku. Poszkodowana była trzeźwa, więc jej cierpienia są naprawdę straszliwe. Rzecznik prasowy zakopiańskiej policji aspirant sztabowy Roman Wieczorek podkreślił, że jazda na skuterze śnieżnym wymaga odpowiedniego przygotowania i przeszkolenia przed jej rozpoczęciem! Wujek Dobra Rada.

■ Krzysztof Hildebrandt urodzony w Wejherowie jest prezydentem tego miasta od 1998 r. Wychodzi jakieś 26 lat. Prezydentem Kutna jest Zbigniew Burzyński urodzony w Kutnie, którego staż prezydencki jest równie długi, z tym że miał czteroletnią przerwę. Obu prezydentom gratulujemy społecznego zaufania.

■ Wacław M. i Krystyna K. zostali uznani przez Sąd Apelacyjny w Szczecinie winnymi wyrządzenia szkody majątkowej w wielkich rozmiarach na majątku gminy Ostrowiec, która wyszacowana została między 13 a 50 mln zł. Jednak sąd przyznał, że wyrok siedmiu lat więzienia dla wójta i skarbniczki wspomnianej gminy, orzeczony w pierwszej instancji, jest niesprawiedliwy. Zdaniem Sądu Apelacyjnego dwa lata zawieszonego więzienia dla każdego z oskarżonych (czyli praktycznie pozostawianie na wolności) to kara adekwatna do popełnionych przestępstw. Wyrok jest prawomocny.

■ W Katowicach ktoś ukradł ciężarówkę z napisem „Konstytucja”. Nie było to trudne. Kluczyki właściciel pozostawił w stacyjce, a dokumenty w schowku na rękawiczki.

Następnie ukradziony samochód zatankowano pod korek i nie zapłacono na stacji paliw. Ciężarówka też spowodowała kolizję z innym samochodem na al. Różdzińskiego. Po kilku godzinach auto zostało odstawione na miejsce, z którego je uprowadzono. Policja utrzymuje, że z tą kradzieżą to lipa. Nam też się tak wydaje.

■ Urząd Miasta Poznania wyda pół miliona złotych na nowe dzwonki do szkół. Wadą starych dzwonków jest to, że są zbyt głośne, przez co wpędzają uczniów w lęk i wywołują depresję. Wiele się zatem w poznańskich szkołach zmieniło. Kiedy niektórzy z nas do nich uczęszczali, dzwonki można by zaliczyć do najmniej stresogennych elementów podstawowej oświaty.

■ Cezary Pacamaj, prezes Portu Lotniczego Wrocław, pochwalił się, że jego lotnisko obsłużyło w minionym 2023 r. rekordową liczbę pasażerów: 3 891 553. Wychodzi ponad 10 tys. podróży dziennie. Nie byliśmy. Nie liczyliśmy, ale nie mamy powodu nie wierzyć prezesowi Pacamajowi.

■ W Kętrzynie termometry pokazały minus 18 st. C, natomiast w Suwałkach były aż minus 23 st. C. To niedobrze. Antropologiczna prawidłowość jest taka, że zwierzęta rodzaju homo rodzone w zimniejszych rejonach planety są niższe niż te ze stref umiarkowanych. Nie dotyczy to Szwecji.

RJ

PS Informacje pochodzą z prasy prowincjonalnej całej Polski. Należy unikać wyciągania z nich generalnych wniosków, a także wywoływania skutków prawnych. Nie bierzemy za to odpowiedzialności.

Mike, objawienie Ameryki

Kongres w objęciach obskurantyzmu.

W ostatnim kwartale 2023 r. trzech prawicowych ekstremistów wspięło się na szczyt władzy w trzech różnych krajach. O dwóch z nich słyszeliśmy sporo: Javier Milei, zwolennik likwidacji usług publicznych i legalizacji sprzedaży organów, został prezydentem Argentyny, w Holandii zaś wybory wygrała islamofobiczna, otwarcie rasistowska, antyeuropejska Partia Wolności Geerta Wildersa, który najpewniej zbuduje rząd mniejszościowy. Trzeci prawacki oszołom objął jedno z trzech najważniejszych stanowisk w Ameryce. O nim, przynajmniej w polskich mediach, jest raczej cicho.

„Wystąp”, rzecze Pan

25 października Mike Johnson został spikierem (czyli przewodniczącym Izby Reprezentantów) Kongresu Stanów Zjednoczonych. Generalna opinia jest taka, że jego zaskakujący awans to wynik zbiegu okoliczności i awantur wewnątrz Partii Republikańskiej, choć on sam przypisuje go ręcznej interwencji Boga. Na spotkaniu Narodowego Stowarzyszenia Chrześcijańskich Ustawodawców na początku grudnia Mike ogłosił, iż Bóg w tej sprawie objawił mu się osobiście. I to nieraz.

Kilka tygodni przed wewnątrzpartijną awanturą, w której jeden republikański ekstremista Kevin McCarthy został usunięty ze stanowiska szefa Kongresu na wniosek innego republikańskiego ekstremisty Matta Gaetza, Bóg zaczął przemawiać do nikomu nieznanego kongresmana z czwartego dystryktu Luizjany, zalecając mu, żeby „się przygotował i czekał”. „Przygotował na co, Panie?” – zapytał Johnson, ale Bóg był dość enigmatyczny w wyjaśnieniach: „Zbliża się moment Morza Czerwonego”.

Jednak kiedy Kevin McCarthy został usunięty ze stanowiska, Mike pomyślał sobie: „Być może to jest to, do czego przygotowywał mnie Pan”. Wobec czego „zaczął się jeszcze bardziej modlić”. W odpowiedzi na modlitewne natręctwo Bóg zaczął Johnsona „budzić w środku nocy” z zaleceniem zapisywania „planów, procedur, pomysłów” dotyczących zjednoczenia partii.

„W tamtym czasie zakładałem, że Pan wybierze nowego Mojżesza” – opowiadał Johnson chrześcijańskim ustawodawcom. „Dziękuję Ci, Panie, że pozwolisz mi być Aaronem dla Mojżesza” – mówił do Boga. Przez następne trzy tygodnie, kiedy kolejni kandydaci padali w głosowaniu lub wycofywali swoje kandydatury (zdarzyło się to 13 razy), Pan wciąż mówił mu, żeby czekał. Ale „w końcu powiedział: »Teraz, wystąp«. »Ja? Ja miałem być Aaronem?»” – zdziwił się skromnie Johnson. „Nie – odpowiedział Pan – wystąp”...

Ścieżki Boga są oczywiście niezbadane, ale tok jego myślenia trafnie odsłania Jamelle Bouie z „New York Timesa”: „Kongresman bez doświadczenia przywódczego po przesiedzeniu czterech kadencji w tylnych ławach był zbyt mało znany, by mieć wrogów”. Republikanie wybrali Johnsona, bo nic o nim nie wiedzieli.

Tymczasem przy całym swoim braku charyzmy i general-

nej nijakości Johnson posiada kilka opinii, które warto znać.

Mroczny zwiastun anarchii

51-letni Mike Johnson, pierwsze dziecko strażaka i gospodyni domowej, pochodzi z Luizjany, gdzie skończył prawo na stanowym uniwersytecie i zatrudnił się w ultrakonserwatywnej organizacji o liberalnej nazwie Sojusz Obrony Wolności (ADF). Wolność, jakiej broni ADF, to wolność prawicowych legislatorów do zakazywania aborcji i pedałstwa, a także do poddawania publicznym urzędów i szkół religianckiej indoktrynacji. Jeszcze w 2003 r. Johnson bronił przed Sądem Najwyższym USA prawa stanu Teksas do kryminalizacji stosunków homoseksualnych pomiędzy dorosłymi osobami (przegrał). W 2004 r. wygrał w imieniu Luizjany prawo do nieuznawania ślubów gejowskich, przekonując, że małżeństwa jedнопłciowe to „mroczny zwiastun chaosu i seksualnej anarchii, która może zniszczyć nawet najsilniejszą

republikę”. Antygejowska pierwsza poprawka do luisjańskiej konstytucji została zniesiona dopiero w roku 2015 po decyzji SN w sprawie Obergefell vs Hodges legalizującej małżeństwa jedнопłciowe w całym kraju. Johnson jest jednym z niestrudzonych orędowników odwrócenia tego wyroku.

Był autorem projektu ustawy zabraniającej finansowania z budżetu państwa jakiegokolwiek edukacji dla dzieci poniżej 10. roku życia wspominającej o istnieniu osób nieheteronormatywnych. Jest też gorącym zwolennikiem delegalizacji opieki medycznej dla nieletnich osób transpłciowych (na przykład leków opóźniających dojrzewanie). No i oczywiście głosował za każdym projektem prawa antyaborcyjnego, który wszedł pod obrady Kongresu, argumentując m.in., że prawo kobiet do przerywania ciąży to przyczyna plagi strzelanin w szkołach.

Jest również – a jakże – wrogiem odnawialnych źródeł energii, sponsorowanym skądinąd przez przemysł naftowy i gazowy, od którego dostał jeszcze jako szeregowy kongresman 340 tys. dolarów. Wszelkie zabiegi na rzecz powstrzymania ocieplenia klimatu czy jakiegokolwiek ochrony środowiska uważa za „sprzeczne ze stworzonym porządkiem tego, jak to wszystko powinno działać”, albowiem człowiek, zgodnie z wolą Bożą, ma obowiązek „panować nad Ziemią i czynić ją sobie poddaną”. A zwierzęta są po to, żebyśmy je jedli.

Historyczna prawda Biblii

Dosłowne rozumienie Biblii jest – w rozumieniu szefa amerykańskiego Kongresu – jedynym akceptowalnym światopoglądem. Dosłowne do tego stopnia, iż jest on zwolennikiem tzw. „kreacjonizmu młodej Ziemi” – konceptu, że Ziemia została stworzona 6 tys. lat temu, bo tak jest napisane w Piśmie Świętym, a teoria ewolucji to lewacka propaganda, która zresztą – podobnie jak aborcja – przyczynia się do masowych strzelanin.

Mike jest wielkim kumplem niejakego Kena Hama, twórcy atrakcji turystycznej pod nazwą Spotkania z Arką. To 150-metrowa łajba mająca być repliką arki Noego, wybudowana w stanie Kentucky z potężnym udziałem środków publicznych. Johnson pomógł Hamowi załatwić na ten wzniosły cel 18 mln dolarów. W arce można oglądać dinozaury, które – zdaniem Hama – „na 100 procent absolutnie na pewno” żyły współcześnie z ludźmi. „Spotkanie z Arką jest jednym ze sposobów na doprowadzenie ludzi do uznania prawdy, że to, co czytamy w Biblii, to rzeczywiste wydarzenia historyczne” – reklamuje interes swojego koleśka szef Kongresu USA.

Kiedy Mike Johnson objął swoje ogromnie eksponowane stanowisko, uznał za stosowne przedstawić

się szerszej publiczności, która nigdy przedtem o nim nie słyszała: „Ludzie są ciekawi, co Mike Johnson myśli na każdy temat pod słońcem. Odpowiadam: »Cóż, weź Biblię z półki i przeczytaj ją – to jest mój światopogląd. W to właśnie wierzę i nie będę za to przepraszał«”.

Jeśli myślicie, że religijne oszołomstwo, mizoginia, homofobia i prowincjonalny obskurantyzm wyczerpują listę zalet spikera Kongresu, to mam dla Was miłą wiadomość. Był on także jednym z głównych rycerzy Trumpa w jego walce o nieuznanie wyniku wyborów z 2020 r. Walce, która zakończyła się – jak pamiętamy – szturmem prawackiego oszołomstwa na Kapitol 6 stycznia 2021 r. Jego bilans to pięciu zmarłych, setki rannych (w tym 138 policjantów), 1100 oskarżonych, wyroki wynoszące łącznie 700 lat więzienia i kompletna kompromitacja amerykańskiej demokracji.

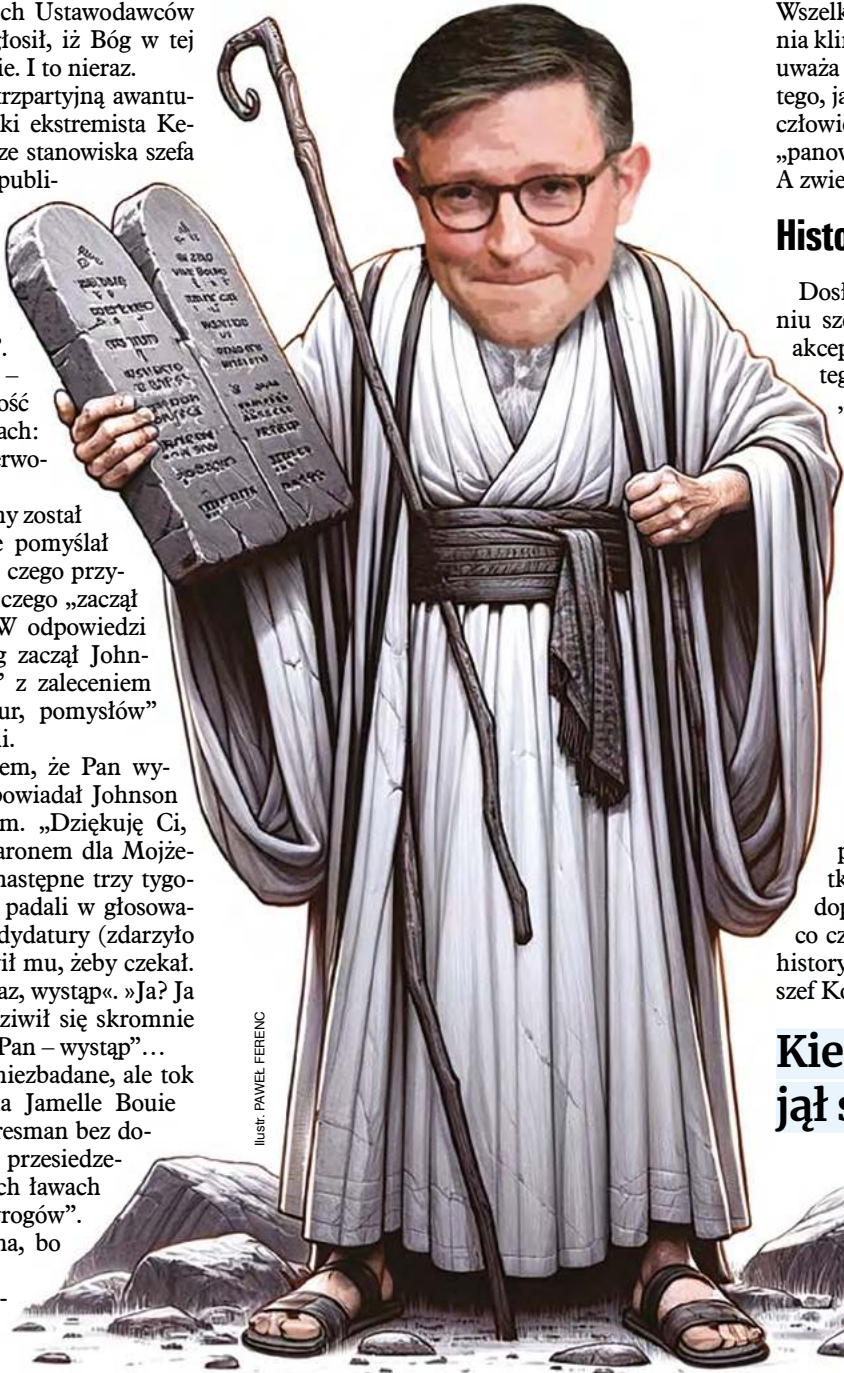
Właśnie zadzwoniłem do Trumpa

Mike nie był wprawdzie w pierwszym szeregu tej walki – przed wyborem na spikera nie był w pierwszym szeregu niczego – ale jego entuzjastyczne wykrzykiwania z tamtego okresu wskazują, że bardzo zaangażował się w zachęcanie Trumpa do podważania wyniku wyborów i wysadzania amerykańskiej demokracji w powietrze. „Właśnie zadzwoniłem do prezydenta Trumpa, aby powiedzieć: »Niech pan będzie silny i walczy dalej, panie prezydencie! Naród polega na pańskiej determinacji. Musimy wyczerpać wszelkie dostępne środki prawne, aby przywrócić zaufanie Amerykanów do uczciwości naszego systemu wyborczego«” – zawittował 7 listopada 2020 r. „Prezydent Trump zadzwonił do mnie wczoraj wieczorem i jego determinacja, aby zapewnić, że wszystkie przypadki oszustw i nielegalności będą badane i ścigane, daje mi odwagę” – dodał 9 listopada. W wywiadach chwalił się, że Trump osobiście powiedział mu, że w SN „jest co najmniej pięciu sędziów, którzy postąpią właściwie”, czyli pomogą im ukraść wybory poprzez wyrok nakazujący unieważnienie części głosów oddanych na Bidena.

Mike Johnson był też szafarzem absolutnie cudnej teorii spiskowej, która sprowadzała się do tego, że nieżyjący od dekady prezydent Wenezueli Hugo Chávez zją grobu ukradł Trumpowi Białą Dom. Teoria brzmi tak, że maszyny do głosowania marki Dominion używane w połowie stanów opierają się na oprogramowaniu firmy Smartmatic założonej przez dwóch Wenezuelczyków, którzy też obsługiwali – a tak naprawdę fałszowali – wybory w Wenezueli na zamówienie Cháveza. Dwa fakty się zgadzają: Smartmatic został założony przez Wenezuelczyków i obsługiwał wybory w Wenezueli. Ale po pierwsze, nie ma żadnych dowodów, że wybory, w których wygrywał Chávez, zostały sfalszowane, a po drugie, maszyny Dominion nie używają oprogramowania Smartmatic i nic tych dwóch firm nie łączy poza żąrtą konkurencją na rynku. Jednak Mike Johnson, jak przystało na prawdziwego człowieka chrześcijańskiej prawicy, nie pozwala, żeby fakty w jakikolwiek sposób zaburzały jego ogląd rzeczywistości.

Mówimy – przypomnijmy – o kimś, kto w najpotężniejszym światowym imperium jest trzecią osobą w państwie. I drugą w linii sukcesji prezydenckiej.

AWŁ



ILUSTR. PAVEŁ FERENC

WIARA CZYNI CZUBA

1. Ksiądz Ignazio Medina z diecezji Jefferson City w stanie Missouri został przez watykańską Dykasterię Nauki Wiary uznany winnym nagabywania seksualnego podczas spowiedzi i otrzymał zakaz pełnienia jakichkolwiek funkcji w Kościele oraz odprawiania mszy i słuchania spowiedzi. Dodatkowo w 2023 r. Medina został przez trybunał kościelny skazany za defraudację 300 tys. dolarów z funduszy parafialnych. Mimo to Ignazio pozostaje księdzem i nadal dostaje emeryturę z die-

cezji. Jej biskup W. Shawn McKnight wydał oświadczenie: „Chcę jasno powiedzieć, że nagabywanie seksualne podczas spowiedzi jest świętokradztwem, przestępstwem w naszym Kościele i poważną formą nadużycia; nie może być tolerowane”. Jego rzecznik dodał, że miłosierdzie okazała Medinie nie diecezja, tylko Stolica Apostolska.

2. Tymczasem prefekt też Dykasterii Nauki Wiary kardynał Victor Manuel Fernández ma niejake kłopoty, bo ktoś wygrzebał jego wydane w 1998 r. w Meksyku dzieło zatytułowane „Mistyczna pasja: Duchowość i zmysłowość”. Dzieło zawiera dosłowne opisy stosunków płciowych i dyskusję na temat czegoś, co kardynał opisuje jako „mistyczny orgazm”. Książka przedstawia też – szczegółowo – wyimaginowane erotyczne spotkanie z Jezusem Chrystusem nad brzegiem Galilei; Fernández ponoć zaczerpnął je z objawienia, które opowiedziała mu pewna sześnastolatka. Nie jest to pierwszy raz, kiedy szczególne zainteresowanie seksem u argentyńskiego purpurata budzi niejake zgorzsenie wiernych. Kiedy papież powierzył mu urząd, wrogowie

wynaleźli jego książkę z 1995 r. zatytułowaną „Ulecz mnie swoimi ustami: Sztuka całowania”.

3. Poważna wojna przetoczyła się przez Toledo w stanie Iowa. Jeden z nielicznych lokalnych ateistów zaprotestował przeciwko szopce z dzieciątkiem, Maryjką i ostem z dykty, umieszczonej na trawniku przed remizą – amerykańska konstytucja zabrania religijnych symboli na terenie publicznym (a dokładnie mówi, że albo wszystkie religie, albo żadna). Żeby wybrnąć z sytuacji, władze Toledo dostawiły Świętego Mikołaja z reniferem, co zmieniło symbol stricte religijny w sezonową ozdobę. Nadal dyskusyjną, ale już nie ewidentnie nielegalną. Pastor Adam Todd z lokalnego Kościoła Biblii Trwałej Opoki ogłosił, że to zamach na Jezusa. „Jeszcze powinniśmy mieć tutaj czającego się w cieniu króla Heroda z nożem, chcącego zabić Dzieciątka Jezus, a następnie powiedzieć wszystkim, że to reprezentacja ateistów” – zaferował pastor. Jesteśmy za.

4. Kim Davis, urzędniczka stanu cywilnego hrabstwa Rowan, stała się słynna po tym, jak powołując się na

autorytet boży, odmówiła Davidowi Ermoldowi i Davidowi Moore’owi ślubu cywilnego chwilę po tym, jak Sąd Najwyższy w sprawie Obergefell vs Hodges zwanym im to prawo. Kim najpierw wyłudowała w pierdlu – acz na krótko – a potem przegrała proces z Davidami i ma im zapłacić 100 tys. dolarów. Teraz okazuje się, że dodatkowo jest im winna 260 tys. w kosztach adwokackich. W razie gdyby ktoś współczuł kobiecie cierpiącej za wiarę i moralność, przytaczamy życiorys Kim w skrócie: poślubiła męża nr 1, miała bliźniaki z mężem nr 3, rozwiodła się z mężem nr 1, poślubiła męża nr 2, rozwiodła się z mężem nr 2, poślubiła męża nr 3, rozwiodła się z mężem nr 3 i ponownie wyszła za męża nr 2. Po bożemu.

5. Mary Miller, republikańska członkini Kongresu ze stanu Illinois, w rozmowie z Tonym Perkinsem z homofobicznej organizacji Rada Studiów nad Rodziną przekonuje innych bigotów do startowania w wyborach: „Potrzebujemy ludzi, którzy mają w sobie bojaźń Bożą, którzy wierzą, że nie mogą się przed Bogiem ukryć i wcześniej czy później zdadzą przed Bogiem sprawę; to są najlepsi ludzie na stanowiska”. Tony Perkins jest

Ukraińcy nie są pierwszymi ani ostatnimi ofiarami obietnic Waszyngtonu.

Niedawna wizyta prezydenta Zełenskigo w USA była jego czwartą w Białym Domu i trzecią od początku rosyjskiej inwazji. Tym razem nie chodziło jednak o miłe fotki ani poklepywanie się prezydentów, ale o to, że Kijów wkrótce w starciu z Moskwą zostanie sam. Znaczący przegrą.

Jak będzie trzeba

Musiałby stać się cud, żeby za rok amerykańskim prezydentem nie był znowu proputinowski Trump. Republikanie kolejno przechodzą na jego stronę. Efektem jest to, że Kongres odrzucił pakiet 61 mld dol. pomocy dla Ukrainy. Bez tej kasy wynik wojny jest do przewidzenia.

Zełenski próbował rozmawiać z republikanami – nic nie wskórał.

Nikt nie pamięta już fotek Bidena z Kijowa, który prezydent USA odwiedził niemal w rocznicę ruskiego ataku. „Jesteście bohaterami, będziemy zawsze stać u waszego boku” – mówił wtedy i przypominał gadkę wypowiedzaną od początku inwazji: „Będziemy z Ukrainą tak długo, jak będzie trzeba”. Po wypompowaniu w Ukrainę 111 mld dol., z czego na militaria poszło 67 mld, amerykańscy deputowani uznali, że to „trzeba” właśnie się kończy.

Nawet Biden nie wspomnia już, że Stany nie zostawią Ukrainy. Teraz deklaruje, że jego administracja będzie wspierać Ukrainę tak długo, jak tylko może. Administracja to trochę nie to samo co majestat monarchii.

Putin się z takiego obrotu spraw cieszy. Ale trudno powiedzieć, żeby był postawą USA zdziwiony. On i jego doradcy mają bowiem całkiem niezłą pamięć.

Uwiarygodnić potęgę

W przeciwieństwie do swojego poprzednika w Białym Domu John F. Kennedy nie był generałem. Ponieważ trwała zimna wojna, a u wybrzeży USA wybuchł na Kubie komunizm, to wiedział, że potrzebne mu jest jakieś zwycięstwo. Najchętniej militarne. Otoczenie prezydenta uznało, że niezłym miejscem na konfrontację ze Związkiem Radzieckim będzie Azja Południowo-Wschodnia. „Mamy obecnie obowiązek uwiarygodnić naszą potęgę i Wietnam jest tym właśnie miejscem, gdzie tego dokonamy” – zapowiedział prezydent i zaczął wietnamską przygodę.

Kennedy miał oczywiście na myśli Wietnam Południowy, na który zakusy czyniła komunistyczna północ. Władze w Sajgonie przez ponad dekadę słyszały, że USA są gwarantem istnienia kraju i jego władz oraz gospodarki wolnorynkowej. Stała obecność wszystkich amerykańskich sił zbrojnych i setki tysięcy walczących żołnierzy pozwoliły milionom południowych Wietnamczyków ufać, że komuniści nie opanują kraju.

Sojusznik specjalnej troski

Potwierdzały to zapewnienia kolejnych prezydentów USA.

Amerykańskie społeczeństwo miało gdzieś walkę w obronie kapitalizmu na drugim końcu świata. Przez kolejne stany przewalały się demonstracje antywojenne. Na tyle skuteczne, że uległ im nawet tak wybitny zamordysta międzynarodowy jak zmarły niedawno Henry Kissinger. Zaczął negocjacje. Skończyły się 27 stycznia 1973 r. podpisaniem w Paryżu układu pokojowego, w którym Amerykanie opuścili swojego sojusznika. Wietkong ruszył na południe po swoje. 30 kwietnia Sajgon, a moment później reszta kraju dostały się w ręce komunistów. Pod ich władzą znalazły się miliony tych, którzy uwierzyli Waszyngtonowi. Wietnamska wojna kosztowała życie ponad 2,5 mln Wietnamczyków i prawie 60 tys. amerykańskich żołnierzy. Dziesiątki tysięcy pozostawionych przez sojusznika obywateli Wietnamu Południowego trafiło albo pod mur, albo do obozów resocjalizacyjnych. Sceny z nieudolnej ewakuacji Amerykanów i ich popleczników z Sajgonu zapamiętały dziesiątki filmów fabularnych.

Pola śmierci w spadku

Leżącą obok Wietnamu Kambodżą od roku 1970 rządził wspierany przez Amerykanów generał Lon Nol. Ameryka miała tam swoich żołnierzy, a ponieważ Lon Nol borykał się z miejscową komunistyczną partyzantką, dostał z Waszyngtonu 155 mln dol. pomocy wojskowej, których dziesięć razy wartość to jakieś 6,2 mld dol. Przez lata generał i Kambodżanie słyszeli od każdego oficjela amerykańskiego zapewnienie o dożgonnej przyjaźni i współpracy. Oraz to, że Kambodżę nie opuszcza nigdy. A jednak tak z dnia na dzień jankesi ją opuścili. Czerwoni Khmerzy zajęli w 1975



Korytarz terroru

30 lat temu, po pierwszej wojnie w Zatoce Perskiej, Kurdowie dogadali się z Waszyngtonem i rozpoczęli powstanie przeciwko Saddamowi. Już wtedy USA nie wywiązały się z obietnicy wsparcia i zostawiły powstańców na kilkuletnią pastwę dyktatora. Po 11 września amerykańskie zapewnienia wróciły, a Kurdowie kolejny raz uwierzyli. Udało im się – w Iraku wywalczyli sobie autonomię, której nikt nie był w stanie zagrozić do momentu powstania Państwa Islamskiego. Wtedy Kurdowie z Iraku i Syrii znów stali się potrzebni Stanom. Dostali nawet z Waszyngtonu gwarancję utworzenia na terenach Syrii i Iraku własnego państwa.

Kurdowie wystawili więc oddziały męskie i żeńskie i ruszyli do boju. A że jednostki te są zbrojnym ramieniem Partii Unii Demokratycznej, która była syryjskim odłamem Partii Pracujących Kurdystanu? Dopóki ISIS istniało, nikomu to nie przeszkadzało. Kiedy jednak Państwo Islamskie obalono rękami Kurdów, prezydent Turcji Recep Erdoğan stwierdził, że opanowane przez Kurdów pogranicze syryjsko-tureckie jest „korytarzem terroru”. Trump niby nie wiedział, o co chodzi, więc zapewniał, że sojusznika nie opuści i nie pozwoli Turcji zabijać Kurdów.

Po kilku miesiącach zmienił zdanie. Na część kurdyskich terenów w Syrii wjechały tureckie czołgi.

Trump, niepomny obietnic składanych Kurdom, rzucił, że nie ma wobec nich żadnych zobowiązań, bo „nie pomogli nam w czasie II wojny światowej. Nie pomogli nam na przykład w Normandii”. Chwilę po tym spiczu reszta amerykańskich oddziałów mających bronić Kurdów została z dnia na dzień wycofana. Turcy spacyfikowali pogranicze, wystrzelali bojowników, a ich przedstawicielstwa polityczne uznali za organizacje terrorystyczne. Od kilku lat Ankara okupuje te tereny, od czasu do czasu przeprowadzając ataki artyleryjskie i lotnicze na dowolne kurdyskie miejscowości. Czy ktoś zwrócił uwagę, że jeden z takich wielkich ataków lotniczo-artyleryjskich nastąpił kilka godzin przed sławną agresją Hamasu na Izrael 7 października?

Nikt otóż. Świat był jednak zajęty tym, co Hamas zrobił jednemu sojusznikowi Stanów Zjednoczonych, którego Waszyngton jeszcze nie zdradził.

TADEUSZ JASIŃSKI

wielkim entuzjastą bojaźni, a szczególnie lubi ją w dzieciach. Jedną z jego głównych krucjat było zwalczanie akcji mających pomóc nieheteronormatywnym i nie-normatywnym płciowo nastolatkom: „Filmy są zatytułowane »Będzie lepiej«. Mają na celu przekonanie dzieci, że chociaż będą musiały stawić czoła trudnościom i być może zastraszaniu za ujawnienie swojego homoseksualizmu, transpłciowości lub innego zbrocznia, życie będzie lepsze... To obrzydliwe”.

6. Biskup Livorno w Toskanii Simone Giusti wydał zę stanu kapłańskiego księdza Ramona Guidettiego, który w homilii z okazji pierwszej rocznicy śmierci Benedykta XVI podzielił się z wiernymi opiniami na temat aktualnego papieża. Zgromadzeni usłyszeli, że obecna głowa Kościoła kat., „pan Bergoglio”, to „jezuicki mason powiązany ze światowymi mocarstwami”, a także „antypapież uzurpator”, w odróżnieniu od „dobrego papieża” Ratzingera. Biskup Giusti wydał dekret stwierdzający, że Guidetti „publicznie popełnił czyn o charakterze schizmatycznym”, nakazał „usunięcie go z urzędu proboszcza parafii św. Raniegero”, a także ostrzegł

innych księży, aby „nie uczestniczyli z nim w żadnych praktykach kulturowych pod kątem ekskomunikacji. »Oprawę sobie dekret w ramkę i powiesz na ścianie” – odpowiedział biskupowi ksiądz.

7. Po tym, jak papież Franciszek dopuścił błogosławieństwo par homoseksualnych, francuscy biskupi wyjaśnili swoim podwładnym, jak wypełnić zalecenia papieża, jednocześnie ich nie wypełniając: „W naszym społeczeństwie, w którym małżeństwo zostało strywalizowane, mamy misję przepowiadania wielkiego piękna projektu Boga, który stworzył mężczyznę i kobietę. W tym kontekście, aby nie przyczyniać się do wywoływania zamieszania lub skandalu, właściwe jest spontaniczne indywidualne błogosławieństwo każdej z dwóch osób tworzących parę, niezależnie od ich orientacji seksualnej, jeśli proszą Boga o błogosławieństwo z pokorą i pragnieniem coraz większego dostosowywania się do Jego świętej woli”. Inaczej mówiąc: cioty można pokropić, ale osobno: krop, krop na jedną i potem krop, krop na drugą. Może bozia się nie połapie.

REKLAMA

RADOSŁAW ŚLUSARCZYK
LASY PAŃSTWOWE OD PRZYRODY,
A NIE OD KAPLICZEK

ROBERT TELUS – CZŁOWIEK GAŚNICA

JAKUB DYMEK
KTO OBRZYDZIŁ ŚWIATU DYPLMACJĘ

KSIEŻA W SEJMIE II RP

tygodnikprzeglad.pl

P **Przegląd**

KACZYŃSKI

CZAS NA BILANS

Amnezja prawicy walczącej.

Zbrodnia
kiepska
PR-owo

Ostatnie lata rządów Zjednoczonej Prawicy mięły przy akompaniamencie napastliwych ekshumacji zbrodni drugiej wojny światowej, żeby przypadkiem naród wychowany od kołyski w głębie przesiąkniętej krwią przodków zamordowanych przez Niemca nie zapomniał, kto krzyczał *polnische Banditen!* na ojców i dziadów. Prawica, która namiętnie wycierała sobie polityczną gębę ofiarami nazistowskiego terroru dla osiągnięcia własnych celów propagandowych, szperała naprawdę głęboko i przesuwiała granice absurdu bardzo daleko, a mimo to nie chciała dotrzeć tam, dokąd wciąż sięga pamięć ludzka.

Przeczytałam doskonały reportaż Kaliny Błażejowskiej „Bezdušní. Zapomniana zagłada chorych” o eksterminacji pacjentów psychiatrycznych, w tym dzieci na terenach okupowanej Polski. Wyjątkowo kiepskiej PR-owo zbrodni dla ojczyzny dotkniętej niemieckim terrorem.

Ulmowie, Ulmami, Ulmów

W lipcu sejm ustanowił nadchodzący rok 2024 Rokiem Rodziny Ulmów. W uchwale wskazano, że w 2024 r. przypada 80. rocznica zamordowania

rodziny z Markowej na Podkarpaciu przez zandarmierię niemiecką za ukrywanie Żydów z rodzin Goldmanów, Didnerów i Grünfeldów. W dokumencie podkreślono, że Ulmowie są symbolem tych wszystkich, którzy oddali życie za pomoc prześladowanym przez Niemców Żydom.

Ulmowie mieli nieszczęście stać się symbolem – żeby nie powiedzieć twarzą – finiszu kampanii wyborczej Zjednoczonej Prawicy. Pod płaszczykiem beatyfikacji ofiar okupanta głównym założeniem prucia tematu było zohydzenie Niemców na cztery wieki wstecz i pięć w przód.

Żeby dokręcić korbę w sprawie wyszarpania reparacji wojennych od zachodnich sąsiadów, rząd Kaczyńskiego w lipcu bieżącego roku wypuścił na trasie Przemysł–Berlin pociąg z lokomotywą oklejoną wizerunkiem zamordowanej rodziny i hasłem: „Zamordowani przez Niemców za ratowanie Żydów podczas II wojny światowej” (pisaliśmy o tym w „NIE” nr 29/2023 w tekście „Ruszy ze stacji lokomotywa”).

Ludzkie szkielety wypatrzone wolności zza drutów kolczastych obozów koncentracyjnych wszystkim się opatrzyły, czy można zatem uderzyć w ton czulszy niż mord na zwyczajnej wielodzietnej rodzinie?

A był to tylko czubek góry lodowej wszystkich inicjatyw upamiętniających mroczne karty historii.

Martyrologia w pieluchach

1 grudnia 2023 r. na cmentarzu pw. św. Wojciecha w Łodzi w obecności zgromadzonych gości – ocalałych i rodzin zamordowanych w czasie wojny, reprezentantów instytucji państwowych, samorządowych i kościelnych – odbyło się uroczyste odsłonięcie pomnika Pamięci Dzieci Polskich – Ofiar Niemieckich Obozów na terenie Łodzi i okolic. W 2021 r. na mocy zarządzenia wicepremiera, ministra kultury, dziedzictwa narodowego i sportu Piotra Glińskiego zostało powołane do życia Muzeum Dzieci Polskich – ofiar totalitaryzmu, dokumentujące historię niemieckiego nazistowskiego obozu dla polskich dzieci w Łodzi w latach 1942–1945. Mikołaj Pawlak, ówczesny rzecznik praw dziecka, optował z tej okazji za rozszerzeniem programu nauczania w klasach V–VIII o problematykę okrucieństw zbrodni niemieckich dokonywanych na dzieciach. Podkreślał wówczas w wywiadach, że tragiczne losy najmłodszych Polaków mają szczególnie wymiar.

Chcę zwrócić uwagę, że

wszędzie tam, gdzie okrucieństwo nazistowskich oprawców zdawało się nie mieć dna, a wspomnienie szczególnej bezbronności ofiar ścigało najwięcej fleszy, pojawiało się PiS.

Dlaczego w szale upamiętniania najhaniebniejszych z moralnego punktu widzenia aktów terroru nie postawiono w świetle jupiterów zagłady pacjentów szpitali psychiatrycznych i pensjonariuszy domów opieki w okupowanej Polsce, o której w swoim reportażu pisze Błażejowska, mogą się tylko domyślać...

Ein, zwei, trzy

Książka Błażejowskiej to zapis prywatnego śledztwa autorki dotyczącego zbrodni, której dokonano w ramach „eutanzji” pacjentów i pensjonariuszy w trzech miejscach: szpitalu psychiatrycznym w Gostyninie, domu opieki w Sremie i dziecięcej klinice psychiatrycznej w Lublińcu.

Masowa likwidacja chorych psychicznie dorosłych, niesamodzielnych starców, ludzi przewlekłe chorych i niepełnosprawnych dzieci – jak wskazuje autorka – rozpoczęła się kilka miesięcy przed akcją T4, choć jej założenia były identyczne: ludobójstwo „niezdolnych do współżycia społecznego i wiodących żywot niegodny życia”. Wskutek tych działań na całym przedwojennym terytorium Rzeczypospolitej od 1939 do 1945 r. zginęło co najmniej 20 tys. osób. A są to bardzo ostrożne szacunki.

W zbiorowej pamięci utarło się, że T4 obejmowała tylko nazistowskie Niemcy, tymczasem, jak pokazała Kalina Błażejowska, czyszczenie społeczeństwa z wybrakowanego elementu ludzkiego dotyczyło również polskich obywateli – zarówno Polaków, Ślązaków, jak i Żydów. Przy pomocy pierwszych mobilnych komór gazowych, rozstrzeliwania, głodzenia i trucicia lekami hitlerowcy dokonywali zbiorowych „eutanzji”, o które nikt nie prosił.

Już we wrześniu i październiku 1939 r. szpitale psychiatryczne na terenach Polski anektowanych przez III Rzeszę (w tzw. Kraju Warty) były przejmowane z rąk administracji polskiej przez władze niemieckie, głównie przez urzędników samorządu wojewódzkiego w Poznaniu (niem. Gauselbstverwaltung). Wraz z przejęciem placówek następowały zmiany na stanowiskach dyrektorów, kierowników administracji i personelu pielęgniarskiego. Stanowiska były obsadzone przez Niemców przybyłych z Rzeszy, ale w procederze przewinęło się również kilka polskich nazwisk.

Alfabet polsko-niemiecki

Do Gostynina niemiecka komisja przybyła na początku 1940 r. Dyrektor placówki Karol Mikulski otrzymał polecenie przygotowania listy pacjentów, którzy nie rokują wyzdrowienia. Lekarz był świadomy, że tym samym podpisze na podopiecznych wyrok śmierci, i popełnił samobójstwo. Po śmierci Mikulskiego na komisarycznego dyrektora szpitala został wyznaczony psychiatra Stefan Galon, urodzony w Inowrocławiu Polak, który jako 12-latek brał udział w powstaniu wielkopolskim. Wżeniony w niemiecką rodzinę powiązaną z nazistowskim reżimem, na początku okupacji wpisał się na volkslistę i awansował na wicedyrektora szpitala psychiatrycznego w Dziekanowie pod Gnieznem. Polskim kolegą z Gostynina tłumaczył, że „stracił twarz, by ocalić życie”.

Akcją uśmiercania pacjentów szpitali psychiatrycznych zajmowała się specjalna jednostka funkcjonariuszy tajnej policji państwowej w Poznaniu (Sonderkommando SS) dowodzona przez komisarza kryminalnego SS-Obersturmführera Herberta Langego. W skład oddziału włączono m.in. dwóch polskich więźniów Fortu VII w Poznaniu, zwanego przez gestapowców obozem krwawej zemsty. Henryk Malińczak i Henryk Mania brali udział we wprowadzaniu ludzi do komór gazowych, wywożeniu ich i grzebaniu w zbiorowych mogiłach. Obydwaj zesłani do jednego z podobozów Mauthausen doczekali wyzwolenia i pod koniec 1945 r. wrócili do Polski. W 1967 r. zostali przesłuchani w śledztwie dotyczącym eksterminacji pacjentów szpitali psychiatrycznych w Kraju Warty, ale nie postawiono im zarzutów.

Malińczak zmarł w 1982 r., nie doczekawszy się kary ani rozgłosu, Mania dożył powołania Instytutu Pamięci Narodowej i w 2001 r. został skazany na osiem lat więzienia. Po kilku tygodniach odsiadki został zwolniony ze względu na kiepski stan zdrowia.

Doktor Victor Ratka, dyrektor szpitala psychiatrycznego w Dziekanowie, wyznaczony do zbadania i selekcji mieszkańców śremskiego przysiółka, przed wojną „mówił po polsku i podpisywał się jako Wiktor. Koledzy psychiatrzy wiedzieli, że jest Ślązakiem, studiował we Fryburgu i ożenił się z Niemką, ale nikt nie przypuszczał, że przeszkadza mu polskie obywatelstwo [...] Jeden z jego przedwojennych kolegów napisze: »Choć urodził się w Łaziskach Górnych na Śląsku, z ojca Franciszka i matki z domu Tudzierz, i choć szereg lat pracował w Polsce i jadł z rodzinną chleb polski, we własnoręcznie napisanym już w 1940 r. życiorysie [...] podał jako swą narodowość niemiecką»”.

W dziecięcej klinice psychiatrycznej w Lublińcu pracowały – jeśli przyjąć taki eufemizm dla podawania młodym pacjentom śmiertelnych dawek leku na padaczkę, luminalu – trzy polskie pielęgniarki: Agnieszka Mastelarz, Anna Ziętek i Jadwiga Musiol.

Ku niepamięci

Profesor Tadeusz Nasierowski, współtwórca Komisji Historii Psychiatrii Polskiej, autor książki „Zagłada osób z zaburzeniami psychicznymi w okupowanej Polsce. Początek ludobójstwa”, w 2016 r. wraz z czwórką współpracowników założył publiczną zbiorówkę internetową na stronie Przerwane-milczenie.pl, gdzie można przeczytać: „Stawiamy pomnik zagłady zapomnianej. Będącej początkiem przerażającego pasma zbrodni, ale nie mogącej odnaleźć swego miejsca w świadomości publicznej”. Pomnik miał powstać na rogu ulic Bonifraterskiej i Sapieżyńskiej w Warszawie, w miejscu dawnego Szpitala św. Jana Bożego, w którym leczono chorych psychicznie i który został zbombardowany i spalony podczas powstania warszawskiego. Zanim zebrano fundusze na pomnik, działka trafiła w ręce dewelopera. Berliński pomnik upamiętniający ofiary akcji T4 znajduje się na ulicy Tiergarten 4 w miejscu budynku, w którym podejmowano decyzje o instytucjonalnym mordowaniu niepełnosprawnych w okresie rządów nazistów. Powojenny rachunek krzywd najbardziej stabuizowanej grupy ofiar najwyraźniej nie nadawał się na sztandar medialnego pocztu zbrodni wartych przypomnienia.

ITALIA DUBICKA



KAZACZOK Z CZOŁGAMI

W ostatnich tygodniach światową karierę robi „polska szkoła savoir-vivre’u” polegająca na niepodawaniu ręki. Pierwszy był polski szachista Jan Krzysztof Duda, który wprawdzie zdecydował się rozegrać mecz z Rosjaninem na mistrzostwach świata w szachach szybkich (pecunia non olet), ale przed rozgrywką demonstracyjnie odmówił uściśnięcia mu dłoni. Gorszy nie chciał być nowy wiceminister spraw zagranicznych Władysław Teofil Bartoszewski, który najpierw zaprosił do MSZ chargé d'affaires rosyjskiej ambasady Andrieja Or-

dasza, aby zruć go za rakieta, która wleciała do Polski (wciąż nie ustalono skąd), a następnie pobiegł do studia Polsat News i pochwalił się bohaterskim niepodaniem ręki rosyjskiemu dyplomacie: „Ja chargé d'affaires, czyli numerowi dwa ambasady Federacji Rosyjskiej [...], ręki nie podam, bo ci ludzie powinni się znaleźć w Międzynarodowym Trybunale Karnym w Hadze i do tego Polska chce doprowadzić, w związku z tym ja ze zbrodniarzami się nie witam”. Gdyby Polska faktycznie chciała postawić chargé d'affaires rosyjskiej am-

basady przed MTK, mogłaby go w każdej chwili aresztować i tam wywieźć. Problem w tym, że nikt na Andrieja Ordasa w Hadze nie czeka, bo też nikt nie uznaje go za zbrodniarza. Jest on akredytowanym przez polski MSZ dyplomatą. Ojciec obecnego wiceministra powiedział niegdyś: „Ja kategorycznie wypraszam sobie rządzenie Polską przez niekompetentnych ludzi, działaczy partyjnych, niekompetentnych dyplomatów”.

Odcinek 2137 serialu „Krystaliczne uczciwa ekipa Zelenskigo”: były wiceminister obrony Ukrainy zdefraudował w 2022 r. 948 mln hrywien (100 mln zł) przy zakupie kamizelek kuloodpornych. Warto nadmie-

nić, że większość funduszy na takie zakupy pochodzi z kieszeni amerykańskich i europejskich podatników.

Były doradca Wołodymyra Zelenskigo Ołeksij Arestowicz udzielił wywiadu najpoczytniejszemu rosyjskiemu tygodnikowi „Argumenty i Fakty”: „Teraz będziemy się zabijać setkami i dziesiątkami tysięcy za Awdijiwkę, Czaśiw Jar i co jeszcze? Dlaczego? Co z tego mamy? Zarówno Rosja, jak i Ukraina? Co osiągnęliśmy w sensie historycznym? Czy zrobiliśmy to po to, żeby wujkowie z Brukseli i Waszyngtonu bili nam brawo, patrząc, jak dwie małpy z brzytwami skaczą na siebie? [...] Musimy przyjść do Putina i mu powiedzieć: Drodzy przyjaciele,

Władimirze Władimirowiczu, zawrzymy pokój”. Szkoda, że to tylko były doradca.

Rząd Estonii zadeklarował gotowość odesłania ukraińskich mężczyzn w wieku poborowym na front. Minister spraw wewnętrznych tego kraju dodaje: „Wiemy, gdzie przebywają, czym się zajmują”. Tymczasem, jak donoszą media nad Dnieprem, Ukraińcy w trzeciej grupie inwalidzkiej nie są już wypuszczani za granicę, a w Radzie Najwyższej Ukrainy został zarejestrowany projekt o powołaniu ich do służby wojskowej. W trzeciej grupie inwalidzkiej są m.in. osoby o ilorazie inteligencji 35 IQ i 25 proc. ostrości widzenia.

MAREK SANOWSKI
ukraina.tygodniknie@gmail.com

Sport na emigracji

Przez wojnę Rosja traci talenty, także sportowe.

Rosyjski niezależny portal MediaZona, którego współzałożycielkami są m.in. członkinie grupy protestacyjnej i zespołu muzycznego Pussy Riot Marija Ałochina i Nadieżda Tołokonnikowa, opisał prześladowania, z jakimi spotkali się rosyjscy szermierze. Nie, nie ze strony światowej federacji czy władz olimpijskich. Nieprzyjemności spotkały ich ze strony rosyjskich instytucji. Czwooro wykluczono z kadry narodowej za wystartowanie podczas zawodów w USA i podpisanie (było to niezbędne do udziału w imprezie) deklaracji, że nigdy nie popierali inwazji Rosji na Ukrainę, dwoje z nich poszukują organy ścigania.

Sportowcy dysydenci

Prześledziłem rosyjskie media internetowe, oczywiście te niekontrolowane przez administrację Putina, i przyznaję, że mam pewien problem, bo nie wszystko jest dla mnie jasne. Zaczniemy od małżeństwa Wioletty i Siergieja Bidów. On jest szpadzistą, srebrnym medalistą olimpijskim z Tokio w turnieju indywidualnym, wicemistrzem świata i wicemistrzem olimpijskim w drużynie. Jego żona, także szpadzistka, występująca na planszy pod panieńskim nazwiskiem Chrapina, ma nieco mniej medali, ale też jest olimpijką. Oboje zaliczani są do czołówek nie tylko rosyjskiej, ale także światowej szermierki.

Dziś małżonkowie przebywają w amerykańskiej akademii mistrzów szermierki, w której barwach startują, a Siergiej dodatkowo pracuje tam jako trener. Właśnie Bidowie są poszukiwani przez rosyjskie służby – komunikat o tym podało rosyjskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Nie zaznaczono co prawda, z jakiego paragrafu, ale nietrudno to sobie wyobrazić, jako że on miał stopień oficera Gwardii Narodowej, a ona zatrudniona była w Ministerstwie Obrony Narodowej. Już w 2019 r. Gwardia Narodowa ogłosiła, że nie zaleca swoim pracownikom wyjazdów za granicę. Osobom zatrudnionym w MSW w ogóle tego zabroniono. Wojskowym natomiast, którym zechciało się opuścić Rosję, czynione były najróżniejsze trudności.

Małżeństwo szpadzistów miało kłopoty z paszportami: raz im je zabierano, raz oddawano. W jaki sposób ostatecznie znalazło się z paszportami w rękach w USA, pozostaje pewną zagadką, najwyraźniej sami Bidowie nie mają ochoty zdradzać szczegółów.

Kłopotliwy mąż i żięć

Wioletta i Siergiej nie są jedynymi rosyjskimi szermierzami, którzy przebywają i startują z sukcesami w USA. Szablista Konstantin Łochanow poleciał za ocean prosto z Monachium, gdzie leczył kontuzję, a w jaki sposób trafił tam Oleg Knysz, nie mam pojęcia, bo nigdzie nie znalazłem informacji na ten temat. W każdym razie na pewno przebywa w USA i tam startuje w zawodach.

Przeciw Łochanowowi i Knyszowi nie wszczęto postępowania karnego. Może z tego powodu, że nie byli związani służbowo z wojskiem lub policją albo że odnosili mniej sukcesów niż małżeństwo Bidów i ich „ucieczka” nie stała się przez to głośna.

Łochanow był, ale już nie jest, mężem szablistki Sofiji Pozdniakowej, córki wiceszefa Rosyjskiego Komitetu Olimpijskiego Stanisława Pozdniakowa. Teściowi włos z głowy nie spadnie. To mocna figura, w przeszłości wspinały szablisty, medali zdobył więcej niż cała opisywana czwórka razem wzięta. Obecnie pełni funkcję szefa Europejskiej Federacji Szermierczej.

Konstantin Łochanow przyznał w mediach społecznościowych, że do rozwodu z Sofiją Pozd-

niakową doszło na tle osądu wydarzeń na froncie ukraińskim. Oboje znaleźli się – jeśli można tak powiedzieć – po dwóch stronach okopów. Sofija nie szczypała się w tychże mediach w język: „Teraz jestem rozwódką. Nie mam depresji. Nie umarłam”.

W wywiadzie dla „New York Timesa” Łochanow wyznał wprost: „Rozwieśliśmy się, bo stwierdziłem, że nie mam zamiaru wracać do Rosji. Nie mógłbym żyć w kraju, który zabija niewinnych Ukraińców”. Na dodatek po zwycięstwie podczas zawodów w Phoenix sfotografował się na tle ukraińskiej flagi ze swoim rywalem pochodzącym z tego kraju. Po tym wszystkim nie miałby łatwego życia ani z Sofiją, ani z teściem, który swego czasu zasłynął stwierdzeniem, że udział w „specjalnej operacji wojskowej” na Ukrainie jest zaszczytnym obowiązkiem każdego Rosjanina.

Kiepski wychowawca

Siergiej Bida niechętnie komentuje całą sytuację: „Postanowiłem wyrzec się tego wszystkiego. Nie chcę mieć do czynienia z polityką, zwłaszcza rosyjską”.

O trenerach mówi się, że są jednocześnie wychowawcami. Skoro podopieczni trenera kadry szpadzistów Aleksandra Głazunowa wyjechali do wrogiego kraju, startując tam i podpisali lojalność, oznacza to, że kiepski był z niego wychowawca. Nie wpoił swojej trzódce miłości do ojczyzny i musiał za to zapłacić.

Gdy tylko głośno zrobiło się o sukcesach podopiecznych Głazunowa w Ameryce, rosyjska federacja szermiercza wydała oświadczenie, że w związku z wyjazdem oficera Gwardii Narodowej Bidy i czynnego żołnierza Chrapiny starszy trener szpa-

zatrudnienia (jest co prawda młodym, ale ponoć wybitnym specjalistą programowania informatycznego). Prędko wyjechał, widocznie niczego ciekawego nie znalazł.

Międzynarodowa para

We Wrocławiu mieszka oficjalnie, choć nie gra w Polsce, ciekawe małżeństwo siatkarzy: on jest Rosjaninem, ona to była reprezentantka Belgii, urodzona w tym kraju, która od niedawna ma prawo reprezentować Polskę. Poznajmy ich.

Dominika Sobolska-Tarasowa urodziła się w belgijskim Menen, niewielkim 30-tysięcznym flandryjskim miasteczku. Jej ojciec Tomasz to były zawodnik Gwardii Wrocław, który do Belgii wyemigrował wraz z żoną w latach 80. minionego wieku. Nic dziwnego, że mała Dominika poszła do belgijskiej szkoły siatkarskiego mistrzostwa sportowego. Tam się uczyła, trenowała i zaczęła grać. Prędko stała się ważną zawodniczką belgijskiej reprezentacji.

Po ukończeniu szkoły przeniosła się jednak do Polski, ani przez moment nie przestała czuć się Polką. Występowała w drużynach Gwardii Wrocław, Chemika Police, MKS Dąbrowa Górnicza i innych. Szczególnie ważne, i to nie tylko ze sportowego punktu widzenia, okazały się jej występy w BKS Bielsko-Biała. To tam poznała swojego przyszłego męża, urodzonego w Petersburgu Władysława Tarasowa, zawodnika miejscowego BBTS. Czy ich spotkanie można nazwać romantycznym? Zależy, jak na to spojrzeć.

Zawodniczki i zawodnicy, choć z różnych klubów, trenowali w tej samej hali sportowej. Najpierw zajęcia miały panie, po nich przychodzili panowie. Dominika zostawała dłużej, żeby dopra-

gijski także. Paszport państwowy to jednak nie to samo co paszport sportowy. Belgowie, którzy za-inwestowali w rozwój sportowy dziewczyny, nie zamierzali tak łatwo puścić jej do Polski. Musiała odbyć karencję, podobnie jak w przypadku Kułbańczyka Wilfreda Leóna, który postanowił bronić barw naszego kraju.

Dominika występowała we Włoszech, Rumunii, Turcji, znów we Włoszech wciąż jako Belgijka. Nawet podczas krótkiego, jednosezonowego reprezentowania barw Budowlanych Łódź występowała jako cudzoziemka, co wiązało się z pewnymi regulaminowymi uciążliwościami dla klubu.

Wreszcie okres karencji minął i Dominika od obecnego roku ma prawo występowania w białoczerwonych barwach. Ale czy zagra w reprezentacji? Sama zawodniczka nie ma złudzeń. Zna swój PESEL. Wie, że w kadrze Stefana Lavariniego pojawiło się sporo zdolnych młodych siatkarek. Czy znajdzie się miejsce dla bylej środkowej reprezentacji Belgii?

Władysław mówi wprost: „Jestem Rosjaninem mieszkającym w Polsce”. W wywiadach zaznacza, że czuje się tu jak w domu, przez wszystkie lata pobytu ani razu nie spotkały go nieprzyjemności z powodu narodowości. Dobrze go rozumiem, bo sześć lat mieszkalem w Sankt Petersburgu i także czułem się w nim pierwszorzędnie. Nie tylko nikt nie sprawił mi przykrości, ale przeciwnie – bardzo wielu znajomych podkreślało, że mają w mniejszym lub większym stopniu polskie korzenie.

Wojna wszystko zmienia

Z niektórymi rosyjskimi znajomymi, a nawet przyjaciółmi zerwałem kontakty albo oni ze mną. Nie dało się utrzymywać kumpłowskich więzi z ludźmi, którzy uważają, że Ukraińcom należą się rakiety i bomby, bo sami sobie na to zasłużyli.

Nie mam pojęcia, jak to wygląda u Władysława Tarasowa, bo w wywiadzie dla rosyjskiego portalu sprzeciwił się wojnie. Dokładnie nie wiadomo, jaki ten wywiad miał wpływ na rodzinę i znajomych rosyjsko-polsko-belgijskiej pary, bo od wybuchu wojny ani razu nie pojechali do kraju Putina. „Na szczęście” – dodaje cichutko Dominika.

Rosyjscy siatkarze, podobnie jak piłkarze, rzadko wyjeżdżali za granicę. No bo i po co? W kraju mieli świetne zarobki, a jeśli chodzi o siatkarzy, mogli grać na najwyższym światowym poziomie. Skąd u Tarasowa zrodziła się myśl, żeby wyjechać? Po prostu chciał poznawać inne kraje, innych ludzi. We Francji nie bardzo mu się spodobало, ale w Polsce już jak najbardziej. Podobna mentalność, podobne poczucie humoru.

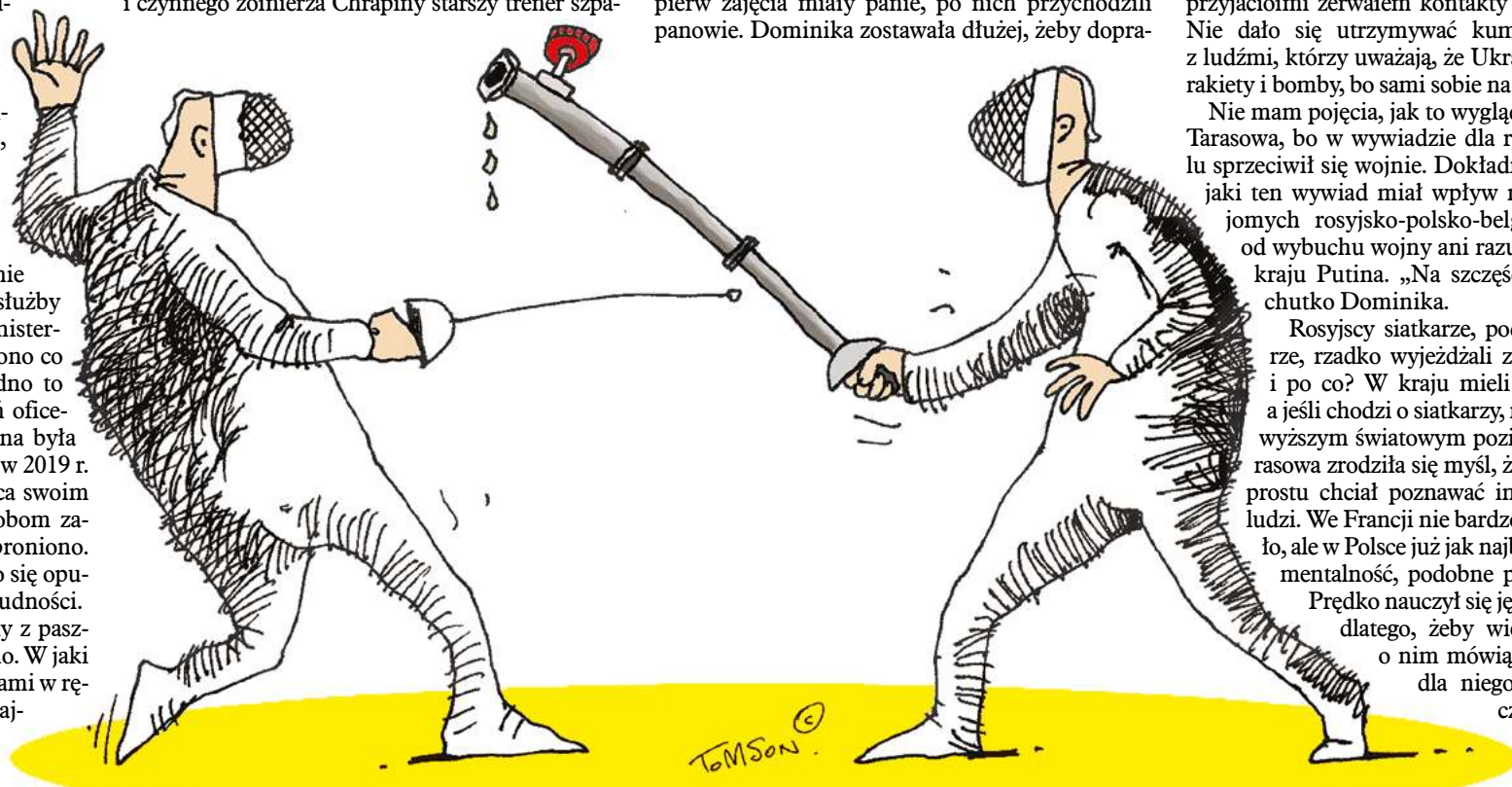
Prędko nauczył się języka, początkowo dlatego, żeby wiedzieć, co ludzie o nim mówią. Teraz jest to już dla niego drugi język ojczysty. Znowu pozwól sobie na osobisty wtór: podobnie jest z moją żoną, która perfekcyjnie włada mową Mickiewicza i Olgi Tokarczuk, a od pewnego czasu muszę zgadywać, czy kiedy mówi „u nas”, ma na myśli Rosję czy Polskę.

Władysław nie boi się, że udzielony rosyjskiemu portalowi wywiad przysporzy mu kłopotów w ojczyźnie. Ma nadzieję, że ludzie i w Rosji, i w Polsce rozumieją, iż

ani miejsce urodzenia, ani narodowość nie są najważniejsze. Najważniejsze, jakim się jest człowiekiem.

Na jego korzyść działa też fakt, że ani on, ani jego żona nie są medalistami olimpijskimi i trudno posługiwać się ich nazwiskami w propagandzie.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl



Rys. TOMASZ WOŁOSZYN

dzistów Aleksandr Głazunow zostaje zwolniony ze stanowiska. Odpowiednie dokumenty zostały już wysłane do Centrum Szkolenia Sportowego. Prawdopodobnie w tym samym czasie wytoczono szermierzom sprawę karną i zostali wciągnięci na listę osób poszukiwanych.

Młodzi ludzie uciekają z Rosji. Nie wszyscy uważają udział w operacji wojennej na Ukrainie za zaszczytny obowiązek. Raczej boją się poboru.

Poznałem osobiście dwóch takich uciekinierów. Jeden zatrzymał się w Polsce, korzystając z wizy rodzinnej, drugi przebywa w Mołdawii i wpadł do naszego kraju zbadać, jakie są u nas możliwości

cować jeszcze jakieś elementy. Od czasu do czasu się spotykali. Nic dziwnego, że piękna zawodniczka wpadła w oko bardzo przystojnemu mężczyźnie i wzajemnie. W 2021 r. wzięli ślub, oczywiście w Bielsku-Białej.

Wrocław – dom rodzinny

Później ich życie potoczyło się tak samo jak wielu innych sportowców par. Wędrowali po świecie po różnych klubach na różnych kontynentach. Spotykali się rzadko, tylko w przerwach od siatkówki. I tak jest do dziś. Obecnie ona jest zawodniczką we włoskim Busto Arsizio (chwilowo ma wolne ze względu na kontuzję), on gra na Bliskim Wschodzie, najpierw w Katarze w drużynie Ar-Rajjan, teraz w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Dom rodzinny Dominika i Władysław założyli natomiast we Wrocławiu.

Dominika Sobolska jest znaną zawodniczką, ale zawsze przy jej nazwisku podawało się „belgijska siatkarka”. No to w końcu polska czy belgijska? Nasz paszport Dominika ma od urodzenia, bel-



SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:

Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny,

Waldemar Kuchanny – redaktor naczelny,

Andrzej Rozenek – zastępca redaktora naczelnego,

Edyta Baker, **Małgorzata Daniszewska**, **Idalia Dubicka**,

Bożena Dunat, **Robert Jaruga**, **Jacek Jasiński**,

Michał Marszał, **Marta Miecińska**, **Łukasz Piotrowicz**,

Agnieszka Wolk-Laniewska, **Marek Sanowski**.

Krzysztof Olejnik, **Paweł Krokodyl Ferenc** (grafika, DTP).

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:

00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,

tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;

tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.

INTERNET

www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.

E-MAIL:

NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć,

dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy

sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz

listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych

tekstów pochodzą od redakcji.

Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja

nie odpowiada.

DRUK:

Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,

e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:

www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl,

www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto: str. 1–16 – 10.01.2024 r.

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Mijają minuty, godziny i dni, a wciąż nie wiadomo, co się stało tego wieczoru, gdy zatrzymała się Ziemia. Zewsząd płyną przekazy wrażeń propagandy, przejętej przez siły Zła, a dobrzy Polacy – patrioci, katolicy, miłośnicy salcesonu i lukrecji – nadal niewiele wiedzą.

Telewizja Republika informuje ich oraz światową opinię publiczną, że naprawdę było tak: grupa zwyrodniałców w mundurach (i kurtkach, czapkach oraz rękawiczkach, bo było minus siedemdziesiąt) wykorzystała nieobecność prezydenta Andrzeja Dudy i wtargnęła do Pałacu Prezydenckiego w poszukiwaniu panów Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika.

Prezydenta Andrzeja Dudy nie było w pałacu, gdyż w Belwederze miał dawno uzgodnione w drodze negocjacji spotkanie z przywódczynią rządu Republiki Białorusi na wychodźstwie Swiatłaną Cichanouską oraz z jej współpracownikami. W kolejce do spotkania z prezydentem Andrzejem Dudą czekali jeszcze: Jego Wysokość XIV Dalajlama (w sprawie udziału posła Macieja Wąsika w uroczystości czytania buddyjskich traktatów i tantr w kolekcji Tengjur), Jego Doskonałość emir Kataru Tamim ibn Hamad Al Sani (w sprawie udziału posła Mariusza Kamińskiego w negocjacjach Izraela z Hamasem), Janusz Nowak (w sprawie awarii dolnoprłuku w jednej z toalet w Belwederze) oraz Jan Kowalski (w sprawie rzekomej awarii autobusu miejskiego, o czym za moment).

Jako się rzekło, siepacze Kierwińskiego, nie okazując dokumentów ani choćby fałszywych legitymacji, po sterroryzowaniu personelu Pałacu Prezydenckiego, osobiście – szefowej Kancelarii Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej pani minister Grażyny Ignaczak-Bandych, bezprawnie wkroczyli do pałacu, gdzie pojmali posłów Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika. Obaj byli trzeźwi jak anioły, a kto mówi, że poseł Mariusz Kamiński był pijany jak świnia, ten łże jak Tusk.

Podczas uprowadzania posłów Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika nie było ofiar śmiertelnych, lecz to, co się stało ze zgwałconą psychiką szefowej Kancelarii Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej minister Grażyny Ignaczak-Bandych, jest podręcznikowym objawem zespołu stresu pourazowego.

Oprawcy skuli posłów Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika, dokonali wielokrotnego gwałtu zbiorowego na ich psychikach, zwłaszcza na psychice posła Mariusza Kamińskiego, który nie cierpiał – podkreślamy: nie cierpiał, nie cierpi i co najmniej przez dwa lata nie będzie cierpiał – na zespół uzależnienia od alkoholu.

Szefowa Kancelarii Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej minister Grażyna Ignaczak-Bandych powiadomiła telefonicznie prezydenta Andrzeja Dudę o gwałcie dokonanym przez zbrodniarzy Tuska na Pałacu Prezydenckim, jego lokatorach i gościach.

– O, kurwa! – krzyknął prezydent Andrzej Duda, czym wprowadził w osłupienie Swiatłanę Cichanouską oraz jej współpracowników.

Po czym pobiegł do samochodu, by co koń wyskoczy wrócić do Pałacu Prezydenckiego i odbić posłów Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika. Wówczas do akcji włączył się Jan Kowalski, który podłożył prezydentowi Andrzejowi Dudzie nogę. A gdy prezydent Andrzej Duda wstał, otrząpał się i wsiadł do samochodu, okazało się, że drogę kolumnie prezydenckiej zastawił jakoby zepsuty autobus miejski kierowany wcześniej przez Jana Kowalskiego, a tak naprawdę przez Trzaskowskiego.

I właśnie wówczas prezydenta Andrzeja Dudę trafił szlag, temperatura spadła do minus dziewięćdziesięciu stopni, Ziemia się zatrzymała, a Jego Wysokość XIV Dalajlama tak zakręcił młynkiem modlitewnym, że aż poseł Mariusz Kamiński by wytrzeźwiał, gdyby był pijany.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam,

z których obie żyją

JOANNA SENYSZYN przyjechała do Warszawy we wtorek wieczorem. Akurat, żeby razem z **AGNIESZKĄ WOŁK-ŁANIEWSKĄ** obejrzyć związanie Kamińskiego z Wąsikiem.

Wołk-Łaniewska: – Rączka i Adamus...

Senyszyn: – Takie masz skojarzenie z najnowszymi więźniami?

– „Jeżeli trzeba gdzie posiać zamęć lub parę prorocstw w stylu Nostradamus, do wynajęcia zawsze nasz okręć. Się polecamy: Rączka i Adamus”... Gałczyński. Tak mi przyszło na myśl. A w zasadzie to Oldze Lipińskiej, a ja od niej zwędziłam to skojarzenie, bo jest cudne.

– Zamęć jak się patrzy. Najbardziej mnie śmieszy, że Rączka i Adamus sądzą, że nadal są posłami. Ja ich nawet rozumiem, bo wiem, jak to jest być posłem, a potem nie być, kiedyś miałam z tego powodu zawał z zatrzymaniem krążenia.

– Ale nie tym razem.

– Nie, już się przyzwyczaiłam.

– Myślisz, że Rączka i Adamus też się przyzwyczają?

– Do celi?

– Do niebicia posłami. Do pierdla będzie trudno, przynajmniej niektórym...

– Niektóremu.

– ...niektóremu, bo tam ponoć gorzały nie dają do śniadania.

– Toteż postanowił nie jadać śniadań. Ani obiadów i kolacji. Swoją drogą: myślisz, że w więzieniu nie da się kupić gorzały?

– Na pewno się da, ale trzeba być akceptowanym członkiem środowiska kryminalnego. Tak sobie myślę, że pisowscy czynownicy z MSW mogą nie być zbyt życzliwie przyjęci przez współosadzonych.

– Biedacy... Ale tak serio: cała sytuacja jest oburzająca. Fakt, że prezydent udziela schronienia przestępcom i utrudnia ich doprowadzenie do więzienia, stawia nasze państwo w fatalnym świetle. I jeszcze Duda chce się tym chwalić głowom innych państw. Będą mieć ubaw.

– Myślę sobie, nawiasem mówiąc, że prezydent nieco przestrzelił z tą demonstracją poparcia. Kiedy urządził uroczystość zatrudnienia Pobożego i Żaryna, dodając subtelny aluzję, iż „najlepszym dowodem na ich państwowy patriotyzm jest to, że współpracowali” z Kamińskim i Wąsikiem. No bo pomyśl: jak oni wyjdą z pierdla, co stanie się raczej wcześniej niż później, i nie będą posłami, to kto ich zatrudni? Skoro ich miejsce

u Dudowego boku jest już zajęte przez Żaryna z Pobożym?

– Nie martw się. Duda coś im znajdzie. Kancelaria prezydenta ma taki budżet, że da radę jeszcze dwóch przestępców urządzić.

– Zawsze może wystąpić o dofinansowanie z Funduszu Sprawiedliwości. Tam są środki na resocjalizację skazanych powracających do społeczeństwa.

– Ale dopiero po odbyciu kary.

– No to co z chłopakami zrobić? Moja ulubiona propozycja dla prezydenta zgłoszona w internecie: „A próbowałś ich odłaskawić i ponownie ułaskawić?”

– Duda idzie w zaparte, że resetu ułaskawienia nie robi. Kombinuje z Manowską, jak zachować twarz, której nie ma. Zapewne będzie chciał potwierdzić ułaskawienie i doda zatarcie skazania, bo wtedy jeszcze nie byli przecież prawomocnie skazani. To im otworzy drogę do europarlamentu.

– To lepszy pomysł niż bunkrowanie się w Pałacu Prezydenckim. Mogłoby trwać zbyt długo... Julian Assange mi się przypomniał, który przez siedem lat ukrywał się przed aresztowaniem w ambasadzie Ekwadoru, aż prawacki prezydent o dość mylącem nazwisku Lenin Moreno go stamtąd wyrzucił.

– Kancelaria Prezydenta RP nie jest eks-terytorialna.

– O czym Adamus i Rączka przekonali się dość boleśnie. Może powinni poprosić o azyl w ambasadzie Węgier?

– Albo Rosji.

– Odwal się od Rosji. Rosja, przy wszystkich oczywistych błędach polityki Władimira Władimirowicza, nie ma z PiS-em nic wspólnego.

– Wiem, wiem, ty moja ulubiona ruska onuco.

– Brakowało mi tego. Małgosia tak do mnie czule mówiła... Wracając do posłów, co nie są posłami: wierzysz w to, że pani Pawłowska, która weszła do sejmu z listy SLD, a wyszła z niego jako poseł PiS, nie weźmie mandatu po Kamińskim, bo Jarosław Kaczyński nie kazał?

– Zbyt pazerna na poselstwo. Musiałaby coś

dostać za rezygnację z kilkuset tysięcy złotych, a PiS za chwilę nie będzie miał co dawać. Pewnie weźmie mandat i zostanie posłanką niezależną. Dzięki temu te dwa kafle, które sejm daje klubom na posła, ona będzie miała ekstra do swojej dyspozycji...

– A może przystąpi do Konfederacji?

– Wiesz, to nawet nie jest głupi pomysł. Wtedy będą mogli wyrzucić Brauna i nawet jak jego trzech akolitów za nim pójdzie, to z Pawłowską Konfederacja nadal będzie miała 15 posłów. Czyli klub. Obawa przed utratą statusu klubu to jest moim zdaniem przyczyna, dla której trzymają Brauna, choć raczej im to nie służy.

– Ech, te subtelności parlamentaryzmu. Zmieniając temat: ktoś mi podesłał na FB test noworoczny: weź dowolną książkę z półki, otwórz na 40. stronie i przeczytaj drugie zdanie. Takie będzie twoje życie erotyczne w 2024.

– I co ci wyszło?

– Wzięłam wywiad rzekę z Wałęsą, którą od ciebie dostałam. Moje zdanie brzmi: „Polacy mają dość, protesty wybuchają w całym kraju”. To jednak przesada. Nie sypiam z całym krajem, przynajmniej odkąd skończyłam 50 lat. Dlaczego przeciwko mnie protestują?

– Protestują, że z nimi nie sypiasz. Cały kraj chce ci poznać bliżej. Czekaj, sprawdzę swoją wróżbę... „Mają kilka konserw z UNRY, wielką wtedy zdobycz”. Też średnio optymistyczne. Choć w sumie mogli mieć jedną, więc nie jest tak źle.

– A co to za książka?

– „Piękny umysł, dzikie serce”.

– To brzmi lepiej.

– Biografia niezapomnianego prof. Vetulaniego. Książka bez happy endu. Przejechał go jakiś debil na przejściu dla pieszych.

– A po ulicach chodzi tyłu chujów, których warto by przejechać...

– Niektórzy niestety z obstawą.

– I na koniec: do wszystkich Czcigodnych Czytelników, którzy zgłosili się po kalendarze ze straszną Senyszyn: przesyłki ruszają. Zagłądajcie do skrzynek.

– Jakby ktoś się zagapił, to jeszcze kilka się znajdzie.

– Widzisz, jednak udało nam się zakończyć optymistycznie.

senyszyn@wp.pl
woklaniewska@wp.pl

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA odc. 281



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI